W Dziekanowska

OSTATNIE DNI POMPEI.

OSTATNIE DNI POMPEI

przez

E. L. Bulwera

Taki Wezuwiusz! i to się zdarza corocznie. Lecz wszystkie wybuchy późniejsze, nawet złączone w jedno, zaledwieby na wspomnienie zasługiwały, gdybyśmy je chcieli porównać z wynikłym w epoce o której mamy mówić... Dzień przemienił się w noc, noc w ciemności; wulkan wyrzucił niepojętą ilość popiołów i piasku, przepełnił niemi ziemię, morze, powietrze i zagrzebał dwa całe miasta, Herkulanum i Pompeję, w chwili gdy lud znajdował się na igrzyskach w Teatrze.

Dion Cassius lib. LXVI.

TOM I

WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej"
Druk J. Sikorskiego, Warecka 4

1899

130605

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ

Варшава. 26 Августа 1899 года

PRZEDMOWA.

Dajemy dziś Sz. czytelnikom utwór, którego młode pokolenie nie zna, a który starsze chętnie sobie przypomni, bo go przed laty czytało z bijącem od wzruszeń sercem. „Ostatnie dni Pompei“ Bulwera jest to jedna z najpopularniejszych książek naszego wieku. Warto ją znać i warto ją mieć w bibliotecze.

Sir Edward Jerzy Bulwer-Lytton, syn generała Wiliama Bulwera i lady Warburton Lytton, urodził się 1803 r. w Haydon-Hall. W domu otrzymał wykształcenie nader staranne, uzupełnione następnie studyami w Cambridge oraz częstemi podróżami. Od r. 1826 ogłasza pierwsze utwory swoje, a potem niemal corocznie aż do końca życia (r. 1873) ukazują się jego romanse obyczajowe i historyczne, przeplatane dramatami, komedyami i poematami, oraz szkicami

literackiemi, filozoficznemi i politycznemi. Po za literaturą bierze czynny udział w życiu politycznem od r. 1831, zostając posłem izby niższej, jako stronnik whigów; w r. 1852 zasiada znowu w parlamencie, już jako gorliwy torys; w lat kilka otrzymuje zarząd kolonii.

Powodzenie literackie zapewnił mu romans obyczajowy p. t. „Pelham“, wydany w r. 1828. Z tego działu do najlepszych, prócz powyższego, zaliczyć wypada romanse: „Odtrącony“, „Caxtonowie“, „Moja powieść“, „Kenelm Chillingly“ i in. Słabszemi są powieści, osnute na tematach kryminalnych, jak: Eugeniusz Aram“, „Noc i poranek“, „Alicya“ i niektóre inne. Lecz nawet najsłabsze romanse, jak: „Godolfin“, „Zanoni“ i in. dowodzą olbrzymiej pomysłowości i płodności autora. Wogóle dzieła Bulwera zalecają się doskonałą obserwacyą, znajomością ludzi, rozmaitością charakterów, dowcipem, wreszcie kompozycyą, zawsze jędrnie obmyślaną, i zwartą budową.

Z cyklu romansów historycznych do najcelniejszych bezwątpienia należą: „Rienzi“ i „Ostatnie dni Pompei“.

W „Ostatnich dniach Pompei“ autor wykazał niepospolitą znajomość czasów i rzeczy starożytnych. Mamy tu barwny obraz życia Pompei, wysnuty z nadzwyczajną plastyką z wydartych popiołom pomników. Odgrzebane po osiemnastu wiekach miasto zaludnia się pod mistrzowskiem piórem prawdziwymi, żywymi

ludźmi; odnalezione ofiary katastrofy straszliwej odnajdują tu imiona i żyją, ucztują, śpiewają, kochają, nienawidzą, weselą się i płaczą. Czytelnik poprostu ma przed oczami Pompeję całą z jej mieszkańcami, ulicami, budynkami; snują się przed nim tłumy panów i niewolników, kapłanów i gladyatorów a wpośród nich sylwetki pierwszych chrześcian, pełnych wiary i nie znających trwogi. W czasie igrzysk, na które się zbiegł lud, następuje ostatni akt dramatu: zatrzęsła się gwałtownie ziemia, na miasto posypały się gorące popioły i kamienie, spłynęła ognista lawa, a wśród nieprzejrzanych ciemności, przerywanych kiedyniekiedy oślepiającemi błyskawicami wulkanu, wśród huku walących się budynków, ryku dzikich zwierząt, sprowadzonych na igrzyska, jęków i płaczów ludzi, po stosach trupów szli przez miasto nieustraszeni chrześcianie, wołając: Nadeszła godzina! Obraz ten nadługo zostaje w pamięci.

H. St. P.

KSIĘGA I.

ROZDZIAŁ I.

Dwaj eleganci w Pompei.

— Ach! Dyomedzie, jakżem rad że cię widzę. Czy wieczerzasz dziś u Glauka?

Tak przemówił młodzieniec niskiego wzrostu; jego tunika, spadająca z ramion w obszerne i rozkoszne fałdy, dawała w nim poznać patrycyusza a razem trzpiota.

— Niestety! nie, kochany Klaudyuszu, nie zaprosił mię, — odpowie Dyomed, człowiek średniego wieku i przybranej szlachetności w postawie. — Na Polluksa! złego mi przez to wypłatał figla, powiadają bowiem, że nikt w Pompei tak dobrych nie da'e wieczerzy.

— Nie są złe, w samej rzeczy, szkoda tylko, że niedosyć jest na nich wina. W istocie wyznać na-

leży, że w żyłach jego nie płynie ta czysta krew dawnych Greków, zwykł bowiem mawiać, że obfitość wina wieczorem pozbawia go rozumu nazajutrz rano.

— Ja mniemam, że oszczędność jego ma jeszcze inną pobudkę,—rzecze Dyomed, marszcząc brwi;—pomimo jego dumę i rozrzutność, nie sądzę, aby był tak bogatym jak nim się być mieni i więcej mu chodzi o amfory niż o rozum.

— Tembardziej tedy wieczerzać u niego należy, dopóki jeszcze nie zbywa mu na sestercach. Na rok następny musimy, Dyomedzie, postarać się o innego Glaukusa.

— Słychać, że lubi także grę w kości.

— Lubi on wszystkie rozkosze, i dopóki tylko nie ustanie w chęci dawania wieczerzy, dopóty kochać go nie przestaniemy.

— Ach! jakżeś to dobrze powiedział, Klaudyuszu! Ale, ale, czyś widział moją piwnicę?

— Nie przypominam sobie, mój dobry Dyomedzie.

— Musimy więc którego dnia wieczerzać w niej z sobą razem! mam dobre mureny w sadzawce i zaproszę także edyla Pansę.

— O! nie rób sobie ze mną tyle ceremonii! *Persicos odi apparatus*, łatwo mnie zadowolić można. Lecz zaczyna się już zmierzchać i chciałbym pójść do kąpieli... a ty?

— Ja się udam do Kwestora... z ważnym interesem... i ztamtąd do świątyni Izydy. Vale!

— Jak wiele próżności w tym człowieku; udaje zatrudnionego, a przytem jak źle wychowany! — rzecze cicho Klaudyusz, oddalając się zwolna. — Zdaje mu się, że jego uczty i wina zapomnieć nam dadzą, że jest synem wyzwoleńca. Zresztą radziśmy temu ile razy ma zaszczyt być przez nas zgrywanym, ci bogaci plebejusze są żniwem dla nas, rozrzutnych patrycyuszów.

Kończąc te słowa Klaudyusz wszedł na *via Domitiana*, która, natłoczona wozami i pieszo idącymi, przedstawiała ten zbytek życia, ruchu i wesołości, jaki się dziś jeszcze napotyka na ulicach Neapolu. Dzwonki u wozów, mijających się szybko, obijały się wesoło o uszy, a Klaudyusz witał uśmiechem lub skinieniem głowy właścicieli powozów, najwięcej wytwornością lub dziwactwem odznaczających się; nie było bowiem w całej Pompei młodzieńca, któryby tak rozległe miał znajomości.

— Ach! to ty, Klaudyuszu! Jakżeś spał po wesołej zabawie?— zawołał przyjemnym i miłym głosem młodzieniec siedzący na wozie pełnym najwytworniejszego smaku. Na bronzach jego zewnętrznych wyryte były przez najlepszych rzeźbiarzy, jakich jeszcze w tej epoce dostarczała Grecya, płaskorzeźby, wyobrażające olimpijskie igrzyska. Dwa konie zaprzężone u wozu były czystej krwi partskiej; wysmukłe ich członki zdawały się pogardzać ziemią i wznosić

w powietrze, a jednak na najmniejszy ruch ręki woźnicy, umieszczonego w tyle powozu, stawały nieruchome, jak gdyby znagła zamieniły się w głazy, nieme, lecz pełne życia, w kształcie cudownych utworów dłuta Praksytelesa. Pan wozu przedstawiał w swej osobie tę piękną symetryę, te rozwinięte kształty, za któremi tyle się w swych wzorach ubiegali rzeźbiarze ateńscy; po jego jasnych włosach zwijających się w pukle i doskonałej regularności rysów łatwo było poznać pochodzenie z rodu greckiego. Nie nosił wcale togi, gdyż ubiór ten za czasów Cesarzów przestał być oznaką dystynkcyi rzymskich obywateli, a nawet poczytywany był za śmieszność przez tych, którzy się ubiegali za modą; lecz tunika jego jaśniała blaskiem tyryjskiej purpury, a klamry, które ją spinały, zwane *fibulae,* ozdobione były szmaragdami. Około szyi miał łańcuch złoty spajający się na piersiach w kształcie głowy węża, w którego paszczy umieszczoną była obrączka z pieczątką misternej roboty. Rękawy jego tuniki były szerokie i oszyte frendzlą u brzegu; a chustka, worek, styl i tabliczki zatknięte były za pas haftowany w arabeski z tej samej co frendzla materyi.

— Cieszy mię to, kochany Glauku, — rzecze Klaudyusz, — że ostatnia twa strata tak mało wywarła wpływu na twą wesołość. Rzecby można, żeś natchniony przez Apollina, a twarz twoja jaśnieje szczęściem jak chwała. Widząc nas obu, poczytaćby

cię można za gracza szczęśliwego, a mnie za ograbionego.

— Alboż zysk lub strata podłego kruszcu ma pozbawić nas wesołości? Przez Jowisza, dopókiśmy jeszcze młodzi, dopóki możemy nasze skronie wieńczyć kwiatami, dopóki dźwięk lutni nie obija się o słuch stępiony, dopóki uśmiech Lidyi lub Chloi podwaja bieg krwi w żyłach naszych, winniśmy rozpływać się na widok słońca i zniewalać czas, aby nam dostarczał rozkoszy. Czy pamiętasz o dzisiejszej wieczerzy u mnie?

— Któżby mógł zapomnieć zaproszenia Glauka?

— Dokąd się udajesz w tej chwili?

— Chciałem iść do kąpieli, lecz jeszcze godzina upłynie, nim się tam udać można będzie.

— Odeślę wóz i pójdę z tobą razem. Tym sposobem, Fidyaszu, — dodał, głaszcząc konia najbliżej stojącego,—będziesz miał wypoczynek do jutra. Nieprawdaż, że to piękne zwierzę? Co myślisz o niem, Klaudyuszu?

— Godzien należeć do Feba,— odpowie szlachetny dworak,—albo do Glauka.

ROZDZIAŁ II.

Kwiaciarka nie widząca i piękność modna.— Wyznanie Ateńczyka.—Czytelnik poznaje Arbacesa z Egiptu.

Tak rozmawiając o rozlicznych przedmiotach, dwaj młodzieńcy przebiegali lekkim krokiem ulice miasta i nakoniec zbliżyli się do części najbogatszych sklepów, których wnętrza uderzały zdala wzrok świetnemi i harmonijnemi kolorami malowideł *al fresco* nieskończonej rozmaitości. Wytryski przejrzystej wody, które u końca każdego rzutu oka rozpraszały w powietrze dnia letniego orzeźwiającą swą pianę; mnóstwo przechadzających się osób odzianych po większej części purpurą; tłoczące się gromady około najparadniejszych sklepów; niewolnicy idący tu i owdzie, niosąc na głowach naczynia bronzowe wytwornej rzeźby; gdzieniegdzie dziewice wiejskie z koszami

owoców i kwiatów, które dla dawnych mieszkańców Włoch nie były zgoła przedmiotem tej obawy, jak dla ich następców, upatrujących w każdym fiołku, w każdej róży zaród choroby; nakoniec mnogie miejsca publicznych schadzek, które u tego ludu, zamiłowanego w próżniactwie, zastępowały nasze kawiarnie i kluby, to jest, sklepy mające wewnątrz marmurowe tablice do stawiania naczyń z winem i oliwą, zewnątrz zaś u progu ławki zabezpieczone od skwaru słońca zasłonami z purpury i wzywające do wypoczynku strudzonego przechodnia, wszystko to tworzyło scenę tak wesołą, tak świetną, tak ożywioną, iż dziwić się nie należy, że ateńska dusza Glauka tak łatwo poddała się zachwyceniu.

— Nie wspominaj mi o Rzymie, — rzecze do Klaudyusza;—uciechy są zbyt poważne, zbyt ciężkie w jego murach. W obrębach nawet dworu, w złoconym domu Nerona, wśród wzrastającej świetności pałacu Tytusa, wspaniałość jest pełną smętności; wzrok tam cierpi, umysł się utrudza. Zresztą jestże przyjemnie czynić porównanie ogromu bogactwa innych z własną miernością? Tutaj, przeciwnie, wciągamy się powoli do rozkoszy i używamy całej świetności zbytku bez znużenia towarzyszącego przepychowi.

— Więc dlatego wybrałeś Pompeję za miejsce pobytu podczas lata?

— W istocie, przekładam Pompeję nad Baja. Nie przeczę powabu Bai: lecz nienawidzę zamieszku-

jących ją pedantów, którzy każdą rozkosz zdają się ważyć na szali.

— A jednak lubisz uczonych, i co się tyczy poezyi, czyliż nie słyszeliśmy jaśniejącej w rozmowach twych towarzystw domowych wymowy Eschylesa lub Homera?

— Tak jest; lecz ci Rzymianie, naśladujący naszych przodków ateńskich, czynią to tak niezręcznie! Gdy idą na polowanie, każą swym niewolnikom nieść za sobą dzieła Platona; a jeśli zgubią ślad dzika, biorą się do książek i papyru, aby nie tracić czasu. Gdy się napawają widokiem tancerek rozwijających przed ich oczyma czarujące powaby tańca perskiego, jeden z wyzwoleńców z twarzą jakby z marmuru czyta im głosem jednodźwięcznym rozdziały Cycerona. Niezręczni Farmakopoliści! Rozkosz i nauka nie są to żywioły, któreby się pomieszać dały; trzeba używać każdego zosobna; Rzymianie nie znają ceny żadnego, usiłując połączyć je z sobą. Czegóż przez to dowodzą? a to, że obu nie pojmują duszą. Nie uwierzysz, kochany Klaudyuszu, jak trudno twym współziomkom wystawić sobie tę kwiecistą zmienność Peryklesa, te ponęty Aspazyi! Niedawno jeszcze odwiedzałem Pliniusza. Pisał on w swym pawilonie letnim, gdy tymczasem nieszczęśliwy niewolnik grał na flecie. Jego synowiec..., ach! znieść nie mogę tych filozoficznych szarlatanów! Synowiec jego czytał opis zarazy Tucydydesa i, gdy wzrok jego przebiegał odrażające szczegóły tej okropnej historyi, on tymczasem bił takt

machinalnie zarozumiałą swą głową. Ten roztrzepany młodzieniec uważał za rzecz nader prostą słuchać piosnki miłosnej i czytać razem opis zarazy.

— Czyż w istocie nie jest to samo? — spyta się Klaudyusz

— Właśniem mu to powiedział, aby wytłómaczyć jego niedorzeczność lecz mój młody filozof spojrzał na mnie z miną niechęci i, nie przenikając żartu, odpowiedział, że muzyka zajmuje tylko słuch, gdy tymczasem książka (zważ dobrze, że to był opis zarazy) wznosi serce. Ach!—rzecze na to stryj, — mój synowiec jest prawdziwym Ateńczykiem, umiejącym zawsze połączyć powab z pożytkiem. Przez Minerwę! jakżem się śmiał w duchu! Jeszczem się był nie oddalił, gdy dano znać naszemu młodemu sofiście, że jego ulubiony wyzwoleniec umarł z febry. O, nieubłagana śmierci! zawołał; niech mi przyniosą Horacego! Z jakąż wymową ten powabny poeta nieść umie pociechę w podobnych nieszczęściach! Czyż mniemasz, kochany Klaudyuszu, że ludzie tego rodzaju umieją kochać? Zaledwie to czynią zmysłowo, i rzadko znaleźć Rzymianina, któryby miał serce. Są to dowcipne machiny, którym braknie tylko kości i ciała.

Lubo Klaudyuszowi nie mogły być przyjemne słowa tak poniżające jego współziomków, udał jednak, że podziela zdanie przyjaciela, bądź dlatego, że był z natury pochlebcą, bądź że moda w tej epoce wyma-

gała od hołdującej sobie młodzieży rzymskiej udawania pogardy dla jedynego tytułu, jaki zdolnym był rzeczywiście usprawiedliwić narodową dumę. Rzymianie naśladowali Greków i naśmiewali się z tych, którzy to czynili niezręcznie.

Podczas tej rozmowy przechodnie nasi zatrzymani zostali skupionym natłokiem u zbiegu trzech ulic. Tam w cieniu portyku świątyni, powabnej i lekkiej architektury, stała młoda dziewica, trzymając pod prawą ręką kosz z kwiatami, w lewej zaś mały instrument o trzech strunach, którego słabe i łagodne tony towarzyszyły wykonywanemu przez nią w pół dzikiemu śpiewowi. Po każdym przestanku ukazywała z wdziękiem swój kosz zgromadzonym widzom, zachęcając do kupna kwiatów, jakoż niejeden sesterc wrzucony został do kosza, bądź w nagrodę za śpiew, bądź przez litość ku śpiewaczce... Gdyż była nie widzącą!

— Jest to biedna Tessalianka,—rzecze Glaukus, zatrzymując się.—Nie widziałem jej jeszcze po powrocie do Pompei. Jej głos jest powabny; słuchajmy.

ŚPIEW

Kwiaciarki nie widzącej.

Kupujcie, kupujcie kwiaty
Lubej woni, krasnej szaty,

Przynosi je zdaleka
Ciemna kaleka.

I.

Przed chwilą jeszcze uśpione
W łonie ziemi, w matki łonie,
W jej objęciach przebudzone
Już chcą wasze zdobić skronie.
Świeżość umila ich wdzięki,
Jak uśmiech lice kochanki;
Patrzcie, jeszcze łza jutrzenki
Rosi splecione z nich wianki.
Kupujcie, kupujcie kwiaty
Lubej woni, krasnej szaty,
Przynosi je zdaleka
Ciemna kaleka.

II.

Ta róża, ten narcyz biały
Nietknięte skwarem ni słotą,
Nie dajcie aby zwiędniały
W ręku skaranej ślepotą.
Jak wy, jasne światła dzieci
Jak wy, chcą być widzianemi:
A dla mnie, dla mnie nie świeci
Najmniejszy promyk na ziemi.
Kupujcie, kupujcie i t. d.

III.

Póki kwitnie młodość żywa.
Póki dla was dłoń miłości
Z krzewu życia rozkosz zrywa,
Wierni czciciele piękności
Korzystajcie! oto pora,
Młodość, piękność nikną z laty,
Nikt dziś nie jest czem był wczora...
Kupujcie, kupujcie kwiaty.

— Potrzeba mi tego pęczka fiołków, — rzecze Glaukus, przeciskając się przez tłum, i wrzucając do kosza garść drobnej monety;— głos twój milszy jest, niż kiedykolwiek.

Młoda niewidząca rzuciła się w stronę, w której dawał się słyszeć głos Ateńczyka, lecz zatrzymała się nagle, a żywa czerwoność okryła jej szyję. twarz i czoło.

— Już więc powróciłeś? — rzekła cichym głosem; potem powtórzyła, jakby mówiąc do siebie: Glaukus powrócił!

— Tak jest, moje dziecię, od kilku dni jestem w Pompei. Mój ogród wzywa twych starań zwykłych, spodziewam się, że go jutro odwiedzisz. Bądź pewną, że tylko ręka pięknej Nydyi splatać będzie u mnie girlandy.

Nydya uśmiechnęła się, lecz nic nie odpowiedziała, a Glaukus wesoło i niedbale wyszedł z tłumu, chowając za tunikę wybrane fiołki.

— To dziecię jest więc pod twą opieką? — rzecze Klaudyusz.

— Tak jest. Nieprawdaż, że śpiewa przyjemnie? Ta młoda niewolnica mnie obchodzi. Zresztą jest ona z kraju góry Bogów; Olimp widział jej kolebkę! jest z Tessalii.

— To kraj czarownic.

— Prawda; lecz co do mnie wszystkie kobiety są czarownicami; i przez Wenerę! rzecby można, że w Pompei samo nawet powietrze przemienione jest w napój miłości, tyle widzę uroku w każdej twarzy kobiecej.

— Ach! właśnie nadchodzi jedna z najpiękniejszych osób w Pompei: córka starego Dyomeda, bogata Julia.

Gdy to mówił, młoda dziewica zbliżyła się. Szła do kąpieli, mając twarz okrytą zasłoną i dwóch niewolników za sobą.

— Piękna Julio, witamy cię — rzecze Klaudyusz.

Julia podniosła nieco zasłony, tak, iż z pewnem wyrachowaniem ukazał się piękny profil rzymski, duże oko czarne i twarz cery przyćmionej, której sztuka dodała łagodniejszą barwę róży.

— I Glaukus już powrócił? — rzecze, rzucając znaczącem spojrzeniem na Ateńczyka. Czyliż już

zapomniał swych przyjaciół roku upłynionego?— rzekła dalej głosem stłumionym.

— Prześliczna Julio, samo nawet Lethe, jeżeli znika w jednej części biegu swojego, ukazuje się wkrótce w innej. Jowisz chwilowo tylko pozwala nam zapomnienia, a Wenus, więcej nieubłagana, nie udziela go ani na chwilę.

— Glaukus nigdy się nie zastanawia, gdy chce powiedzieć grzeczność.

— Któżby nie doznał natchnienia dla tej, która jest tak piękną?

— Spodziewam się, że wkrótce ujrzymy was obu w wiejskim domu mojego ojca? — rzecze Julia, obracając się do Klaudyusza.

— Naznaczymy białym kamieniem dzień, w którym cię będziemy oglądać — odpowie gracz.

Julia spuściła zasłonę, lecz zwolna i tak, iż ostatnie jej spojrzenie zatrzymało się na Ateńczyku z przybraną bojaźliwością, ukrywającą prawdziwą śmiałość. To spojrzenie wyrażało razem czułość i wyrzuty.

Dwaj przyjaciele poszli dalej.

— Nie ulega wątpliwości, że Julia jest bardzo piękną,— rzecze Glaukus.

— W roku przeszłym uczyniłbyś to wyznanie z większym zapałem.

— To prawda; byłem omamiony na pierwszy widok i poczytałem za kamień kosztowny to, co tylko było jego szczęśliwem naśladowaniem.

— Wszystkie kobiety w gruncie są do siebie podobne. Szczęśliwy, kto w swej małżonce znajdzie piękność połączoną z bogatem wianem! Czegóż więcej żądać można?

Glaukus westchnął.

Zbliżyli się do ulicy mniej uczęszczanej od innych, w końcu której dawało się widzieć to rozległe i uśmiechające się morze, które u owych rozkosznych brzegów zdaje się zrzekać przywileju wzniecania przestrachu, tyle mają łagodności wiatry marszczące jego powierzchnię, tak są rozmaite i jaśniejące kolory, które przybiera od różanych obłoków, tak są rozkoszne wonie, które mu wiatr ziemski przynosi Zapewne z takiego to morza wyszła Wenus anadyomene, aby zawładnąć berłem świata.

— Jest jeszcze zawcześnie do kąpieli — rzecze Grek, niezdolny nigdy oprzeć się żadnemu poetycznemu omamieniu; oddalmy się od zgiełku miasta i idźmy przypatrzyć się morzu, gdy jeszcze słońce południowe igra na jego falach.

— Z całego serca—rzecze Klaudyusz; zwłaszcza, iż zatoka jest częścią miasta najwięcej mającą życia.

Pompeja przedstawiała miniaturowy obraz cywilizacyi wieku. W ciasnym obrębie jej murów zawierała się próba każdego przedmiotu zbytku, będącego udziałem bogactwa i władzy. Jej sklepy małe, lecz świetne, jej pałace, łaźnie, forum, teatr,

cyrk, jej energia na łonie zepsucia, jej cywilizacya na łonie występku, odznaczająca jej mieszkańców, przedstawiały obraz całego Państwa. Było to jak cacko dziecinne, jak optyka, w której bogowie zdawali się chcieć wystawić reprezentacyę wielkiej monarchii ziemskiej, a którą później ukrywali przed wzrokiem czasu, aby ją ukazać na podziw potomności i dać przykład moralności tej maksymy: że nic niema pod słońcem nowego.

Zatoka, gładka jak zwierciadło, napełniona była statkami handlowemi i złoconemi galerami dla rozrywki bogatych obywateli Rybackie łodzie krzyżowały się w różnych kierunkach, a w dali ukazywały się wyniosłe maszty floty dowodzonej przez Pliniusza. Nad brzegiem siedział Sycylijczyk, opowiadający z wielką gwałtownością w poruszeniach i zmiennością rysów twarzy otaczającej go gromadce rybaków i wieśniaków powieść o tonących rybakach, których uratowały delfiny; powieść, podobną do tej, którą i za naszych czasów usłyszeć można na wybrzeżach Neapolu.

Towarzysze nasi przecisnęli się przez zgromadzone tłumy i skierowali swe kroki ku samotnej stronie brzegu, gdzie, usiadłszy na małej skale umieszczonej wśród pokładów błyszczącego piasku, napawali się świeżym i rozkosznym wiatrem igrającym na falach przy dźwięku łagodnego ich szmeru. Otaczająca scena skłoniła ich do cichości i marzenia. Klaudyusz, zasłoniwszy ręką oczy przed skwarem

słonecznym, rachował swą tygodniową wygraną, a Grek wsparty na ręce, nie kryjąc się przed słońcem, tem opiekuńczem bóstwem swej rodzinnej ziemi, którego czyste światło przepełniało jego serce poezyą, miłością i szczęściem, wpatrywał się stale w rozległą przestrzeń morza i zazdrościł może każdemu powiewowi wiatru, który się kierował ku brzegom Grecyi.

— Powiedz mi, Klaudyuszu —zawołał nakoniec, czyś kiedy kochał?

— O! bardzo często.

— Ten, kto kochał często, odpowie Glaukus, nie kochał nigdy. Jest tylko jeden Eros, lubo ma wielu naśladowców.

— Jednakże ci naśladowcy nie są złymi bożkami—rzecze Klaudyusz.

— Zgadzam się na to; ubóstwiam nawet cień miłości; lecz ją samą ubóstwiam najwięcej.

— Czyż jesteś w istocie zakochany? Czy doświadczasz tego uczucia opiewanego przez poetów, uczucia, dla którego zapominamy naszych wieczerzy, wyrzekamy się teatru i piszemy elegie? Nigdym się tego nie spodziewał; w istocie umiesz się dobrze ukrywać.

— Niedosyć jeszcze jestem w tem uczuciu daleko, abym potrzebował to czynić — rzecze Glaukus, uśmiechając się; powiem raczej z Tybullem: — Ten, kto się powoduje czystą miłością, chodzi bezpiecznie, w którąkolwiek stronę skieruje swe kroki. Prawdę

mówiąc, nie jestem jeszcze rozkochany, lecz mógłbym nim zostać, jeślibym miał sposobność widzenia przedmiotu mej czułości. Eros pragnie usilnie zapalić lampę; lecz kapłani nie dali mu oliwy.

— Czy każesz mi się domyślać przedmiotu tej miłości? Nie jestże to córka Dyomeda? Ona cię uwielbia i nie usiłuje pokrywać swej czułości; a powtarzam, przez Herkula! jest piękną i bogatą. Ona drzwi twego domu utwierdzi sznurami złotemi.

— Nie, ja nie chcę się zaprzedać. Córka Dyomeda jest piękną, nie przeczę temu, i był czas, iż mógłbym,—gdyby nie była wnuczką wyzwoleńca... Lecz nie, cała jej piękność jest w twarzy, obejście się jej nie jest tem, co przystoi dla dziewicy, a umysł jej nie posiada innej umiejętności nad tę, która darzy rozkoszą.

— Jesteś niewdzięczny. Powiedz mi więc, kto jest ta szczęśliwa dziewica?

— Słuchaj, kochany Klaudyuszu. Przed kilku miesiącami byłem w Neapolis, w tem mieście ulubionem przezemnie dlatego, że w pomnikach jego zachował się jeszcze zarys pochodzenia greckiego i że klimat jego rozkoszny i przepyszne brzegi tak dalece czynią go godnem imienia Parthenopy. Dnia pewnego wszedłem do świątyni Minerwy, pragnąc błagać tę boginię nie tak o względy dla mnie, jak raczej dla miasta, do którego się już Pallas uśmiechać przestała. Świątynia była próżna i opuszczona. Wspomnienia Aten przedstawiły się tłumnie mej pamięci, są-

dziłem się być samym; pogrążyłem się w pobożne rozmyślania: modlitwa z mocą wydarła się z serca, przeszła przez usta, a modląc się, zacząłem łzy wylewać. Znagła, głębokie westchnienie przerwało me roztargnienie; obróciłem się i spostrzegłem za sobą kobietę. Miała podniesioną zasłonę i modliła się wraz ze mną, a gdy się oczy nasze spotkały, zdało mi się, że promień niebieski tych gwiazd czarnych i jaśniejących przeniknął do głębi mą duszę. Nigdy, kochany Klaudyuszu, nie widziałem rysów tak doskonałej symetryi; pewna melancholia zarazem szczytnego i łagodnego wyrazu; ten powab niewysłowiony wypływający z duszy, jaki snycerze nasi umieli zachować na twarzy Psyche, udzielał jej piękności coś szlachetnego i boskiego; łzy płynęły jej z oczu. Domyśliłem się natychmiast, że była urodzoną z rodziców ateńskich, i że modląc się za Ateny, jej serce było w harmonii z mojem. Przemówiłem do niej, pytając głosem wzruszonym, czyli nie była Atenką. Na dźwięk mych wyrazów zapłoniła się i, okrywając w połowie twarz zasłoną, odpowiedziała: — popioły mych przodków spoczywają na brzegach Ilissu; ja przyszłam na świat w Neapolis, lecz w mem łonie zgodnie z mą familią bije ateńskie serce.

— Czyńmy więc razem ofiary, rzekłem.—W tej chwili przyszedł kapłan i pozostaliśmy obok siebie, podczas gdy odmawiał modlitwę; razem dotknęliśmy się kolan bogini, razem złożyliśmy na ołtarzu girlandy z oliwnych liści. W tej braterskiej po-

bożności doznałem szczególnego wzruszenia i jakby świętej czułości. Nieznani sobie, przybyli z odległej okolicy, byliśmy obok siebie, razem i sam na sam w tej świątyni, poświęconej bóstwu naszej rodzinnej krainy. Serce me naturalnie uczuło pociąg ku tej, którą mogłem, bez zaprzeczenia, mianować mą rodaczką. Zdało mi się, żem ją znał oddawna, a te proste obrzędy zastąpiły, jakby dziełem cudu, związki lat i współczucia. Wyszliśmy z świątyni w milczeniu; miałem się zapytać o jej mieszkanie i prosić o pozwolenie oddania jej wizyty, gdy młodzieniec, którego rysy przedstawiały niejakie podobieństwo do niej, zbliżył się i wziął ją za rękę. Obróciła się, aby mię pożegnać. W tej chwili ciżba nas rozdzieliła i już więcej jej nie ujrzałem. Przybywszy do siebie, znalazłem listy, zniewalające mię udać się do Aten do bronienia praw mych do dziedzictwa, których mi zaprzeczali krewni. Wygrałem proces i powróciłem do Neapolis; napróżno czyniłem po całem mieście poszukiwania, a nie mogąc nigdzie odkryć śladów mej współziomki, pośpieszyłem pogrążyć się w powabach Pompei, w nadziei, że na łonie rozkoszy zniknie wszelki ślad tego pięknego widma. Oto jest cała powieść. Nie kocham, lecz pamiętam i żałuję.

Klaudyusz miał odpowiedzieć, gdy krok poważny i mierzony dał się słyszeć na piasku odnogi. Obaj podnieśli oczy i poznali natychmiast nowoprzybyłego.

Był to człowiek, dosięgający zaledwie czterdziestu lat życia; wzrostu był wysokiego, a członki jego

więcej szczupłe, niż muskularne, objawiały zręczność i siłę. Ciemna jego cera barwy spiżowej ukazywała pochodzenie wschodnie, a rysy twarzy zwłaszcza w podbródku, wargach, czole i szyi nosiły cechę grecką, wyjąwszy nos duży orli i wystające wypukłości które pozbawiały go owego pozoru młodości, odnaczającej się na greckich fizyonomiach nawet w wieku dojrzałym. Jego oczy czarne jak noc najciemniejsza jaśniały blaskiem dalekim od wszelkiej zmienności i niepewności. Głęboka cisza, myśląca a nawet melancholijna, zdawała się panować w nakazujących jego spojrzeniach. Chód jego i postawa odznaczały się szczególną powagą i szlachetnością, a krój cudzoziemski i posępne kolory długiej sukni podnosiły wrażenie tak poważnego oblicza i tak wspaniałej postawy. Dwaj młodzi ludzie, witając go, uczynili machinalnie znak lekki i niewyraźny palcami, który jednak starannie przed cudzoziemcem ukryli; albowiem Arbaces z Egiptu słynął z posiadania fatalnego daru złego oka.

— Widok tych okolic musi być prawdziwie piękny — rzecze Arbaces z dumnym lecz grzecznym uśmiechem — ponieważ zdołał świetnego Klaudyusza i uwielbianego Glauka wyprowadzić z zaludnionych ulic miasta.

— Czyż przyrodzenie jest tak ogołocone z powabów? spyta Grek.

— Jest niem dla ludzi zamiłowanych w rozkoszach świata towarzyskiego.

— Odpowiedź ta jest surową, lecz nie uznaję jej słuszności. Rozkosz szuka sprzeczności; towarzystwo daje nam poznać powab samotności, a samotność przymioty towarzystwa.

— Tak to myślą młodzi filozofowie akademii, odpowie Egipcyanin; poczytują samotność za rozmyślanie, i zdaje im się, iż znają powab samotności, ponieważ są przesyceni światem. Lecz nie w ich to wysilonem łonie natura obudzić umie ten entuzyazm, sam tylko zdolny zrozumieć niewysłowioną jej piękność; wymagà ona od nas nie przesycenia namiętności, lecz tego wyłącznego zapału, od którego w jej ubóstwianiu wy tylko usiłujecie się uwolnić. Wiedz, młody Ateńczyku, że gdy księżyc ukazał się Endymionowi w swem tajemniczem świetle, było to po dniu spędzonym nie w zgiełku mieszkań ludzkich, lecz na cichym wierzchołku gór i na dolinach samotnego łowca.

— Porównanie jest piękne,—zawoła Glaukus,— lecz zastosowanie niesprawiedliwie. Przesycenie, powiadasz! Ach! młodość nie przesyca się nigdy; i co do mnie, ja nigdy nie doznałem jednej chwili sytości.

Egipcyanin uśmiechnął się jeszcze, lecz tym razem uśmiech jego był tak zimny i suchy, że nawet Klaudyusz, niezbyt żywą obdarzony wyobraźnią, doznał jego wrażenia. Arbaces nic nie odpowiedział na wyrazy namiętne Glauka; lecz po chwili przestanku rzekł łagodnym i melancholijnym głosem.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

— Zresztą, dobrze czynisz, że korzystasz z życia, dopóki ci ono się uśmiecha; róża więdnieje prędko, zapach się ulatnia, a co do nas, o Glauku, cudzoziemców w tym kraju żyjących zdala od miejsc, gdzie spoczywają popioły naszych ojców, jakaż inna kolej nam pozostaje prócz rozkoszy i żalu? Pierwsza jest dla ciebie, ostatni może dla mnie.

Kończąc te słowa, obwinął się w suknię i oddalił się zwolna.

— Oddycham lżej — rzecze Klaudyusz. Naśladując Egipcyan, do uczt naszych przypuszczamy niekiedy szkielety. Prawdę mówiąc, obecność podobnego Egipcyanina byłaby zdolną zastąpić rolę martwego gościa tyle właśnie, ile tego potrzeba, aby się w kwas zamieniły najpiękniejsze nasze jagody Falernu.

— Nadzwyczajny człowiek! — rzecze Glaukus z miną zamyśloną; zdaje się być zmarłym dla rozkoszy i zimnym na uciechy świata, a jednak, jeżeli wieść publiczna nie kłamie, dom jego i serce w wielkiej są z jego mową sprzeczności.

— Słychać o wyprawianych w posępnem jego mieszkaniu igrzyskach niepodobnych zgoła do tych, jakie się dają na cześć Ozyrysa. Mówią nadto, iż jest bogatym. Gdyby go można wciągnąć między nas i dać mu poznać powaby gry w kości! O najszczytniejsza z rozkoszy! trawiąca gorączko bojaźni

i nadziei! namiętności niezmordowana nigdy! o gro jakże jesteś zarazem okropną i piękną!

— Co za natchnienie!—zawoła Glaukus, śmiejąc się;—wyrocznia przemawia przez usta Klaudyusza. Po tym cudzie jakiegoż jeszcze doznamy?

ROZDZIAŁ III.

Charakter i przymioty Glauka.—Opis domów Pompei — Zabawy klasyczne.

Niebo szczodrze obdarzyło Glauka darami; posiadał piękność, zdrowie, talent, świetne urodzenie, serce ogniste i poetyczną duszę. Urodził się w Atenach, będących pod władzą Rzymu. Zawładnąwszy wcześnie znakomitym majątkiem, uległ wrodzonemu młodym ludziom zamiłowaniu w podróżach i czerpał obficie z upajającej czary rozkoszy, na łonie świetnych uroczystości dworu cesarskiego.

Glaukus był Alcybiadesem bez ambicyi. Był tem, czem się łatwo staje każdy człowiek, obdarzony wyobraźnią, młodością, majątkiem i talentami, lecz pozbawiony natchnienia chwały. Dom jego w Rzymie był miejscem schadzki ludzi rozwiązłych, lecz zarazem miłośników sztuk pięknych; a sprycerze Grecyi

poczytywali za rozkosz zdobić portyki i *exedra* Ateńczyka. Dom jego w Pompei.. niestety! malowidła jego dziś już są zwiędłe; mury ogołocone z obrazów; postradał wszystkie ozdoby tak pełne powabów.. jednak wzbudził jeszcze powszechny zapał, gdy te ozdoby, obrazy, mozaiki poraz pierwszy znowu się, na świat ukazały. Miłujący namiętnie poezyę i teatr które mu przypominały geniusz i chwałę jego współziomków, Głaukus ozdobił świetne swe mieszkanie posągami Eschylesa i Homera; antykwaryusze, czyniący ze smaku rzemiosło, zamienili autora w artystę, a lubo błąd ich został wkrótce sprostowanym, nie przestają przecież mianować dotąd odkopanego domu Ateńczyka Głaukusa *domem poety dramatycznego.*

Wprzód nim opiszemy ten dom, zaczniemy od dania czytelnikowi ogólnego wyobrażenia wewnętrznego rozkładu domów w Pompei, a przekona się, że wogóle wznoszone były według planów Witruwiusza, lecz z całą tą rozmaitością szczegółów dziwactwa i smaku, która, jako wrodzona człowiekowi, w każdym czasie utrudniała badania antykwaryuszów. Będziemy się starali uczynić opis nasz o ile można zwięzłym i zrozumiałym.

Wchodzi się w ogólności małem przejściem, zwanem *vestibulum*, do sali niekiedy ozdobionej kolumnami, częściej jednak bez kolumn. Trzy strony tej sali są opatrzone drzwiami, prowadzącemi do rozmaitych izb sypialnych; z tych jedna jest przeznaczona dla odźwiernego, a najlepsze wogóle służą do pomieszcze-

nia gości. U końca sali lub też z prawej i lewej strony, jeżeli dom jest wielki, są dwie małe izby albo raczej wydrążenia poświęcone domowym damom, a w środku jest czworokątny niegłęboki rezerwoar do wody deszczowej, spadającej przez otwór w dachu, który się dowolnie zamyka. Jest to właśnie to, co się nazywa *impluvium* i do czego starożytni wyłączną przywiązywali świętość. W urządzonej tym sposobem sali umieszczano często w Rzymie, lecz rzadziej w Pompei, domowych bożków *Lares*. Tu się znajdowało w naczyniu ruchomem owe gościnne ognisko, poświęcone tym bożkom, o którem tak często mówią poeci rzymscy. W kącie najustronniejszym znajdował się wielki kufer drewniany, ozdobiony i wzmocniony obręczami z żelaza lub spiżu i przytwierdzony ćwiekami do kamiennej podstawy z tą mocą, jaka się opiera usiłowaniom złodzieja. Kufer ten był poczytywany za skarbiec pana domu; gdy jednak w żadnym z tych, które odkryto w Pompei, nie znaleziono pieniędzy, wnosić należy, iż częściej służył do ozdoby niż do użytku.

W tej to sali albo *atrium*, mówiąc językiem klasycznym, przyjmowano klientów i osoby niższego stopnia. W domach najznakomitszych mieszkańców znajdował się niewolnik zwany *atriensis* wyłącznie przeznaczony do usług tej sali, a ten między towarzyszami swemi wysoki i ważny posiadał stopień. Rezerwoar środkowy musiał być ozdobą cokolwiek niebezpieczną, lecz środek sali wzbroniony był dla prze-

chodniów, którzy do przechadzki dosyć mieli miejsca po brzegach. Zaraz naprzeciw wejścia i z drugiego końca sali było pomieszkanie (tablinum), którego posadzka zdobiona była zwykle bogatą mozaiką, a ściany okryte pysznemi malowidłami. W tem miejscu składano archiwum familii, lub publicznego urzędu, ile razy go pan domu piastował. Z jednej strony tego salonu, jeżeli go tak nazwać możemy, mieściła się najczęściej sala jadalna (*triclinium*), z drugiej zaś niekiedy gabinet, zawierający mnóstwo rzadkich i ciekawych przedmiotów, zawsze jednak w tem miejscu znajdował się mały korytarz dla użytku niewolników, którzy się przezeń udawać mogli do różnych części domu, nie przechodząc przez opisane wyżej pomieszkania. Wszystkie te pokoje miały wychód na podłużną i czworoboczną kolumnadę, którą w języku technicznym nazywano peristylem. Jeżeli dom był mały, wówczas kończył się tą kolumnadą, lecz w tym razie środek jego, chociażby był najszczuplejszy, tworzył zawsze ogród i był ozdobiony wazonami kwiatów wspartemi na podstawach, gdy tymczasem pod kolumnadą z prawej i lewej strony drzwi prowadziły do izb sypialnych *) i do drugiego *triclinium* albo sali jadalnej, albowiem starożytni mieli zazwyczaj dwie sale poświęcone temu użytkowi, z których jedna służyła

*) Rzymianie mieli inne sypialnie na noc a inne na dzienny wypoczynek, i te ostatnie nazywali *cubicula diurna*.

na lato, druga na zimę; albo raczej jedna do użytku codziennego a inna na dni uroczyste. Nakoniec, jeżeli pan domu lubił literaturę, znajdował się jeszcze z tej strony gabinet zaszczycony tytułem biblioteki, gdyż bardzo niewielka przestrzeń wystarczała do objęcia małej liczby zwijanych rękopismów papyru, które u starożytnych stanowiły znakomity zbiór książek.

Kuchnia była zwyczajnie u końca peristylu. Jeżeli dom był wielki, wtenczas nie kończył się peristylem, a środek jego nie był ogrodem; miejsce jego zastępowała albo fontanna albo sadzawka dla ryb, u końca zaś przeciwległego *tablinum* znajdowała się inna sala jadalna, gdy tymczasem po obu stronach mieściły się izby sypialne lub też niekiedy galerya obrazów *pinacotheca* *). Te pokoje miały również styczność z podłużną i czworoboczną przestrzenią, ozdobioną zwyczajnie po trzech stronach kolumnadą tak jak w peristolu, do którego wreszcie przestrzeń ta była bardzo podobną, wyjąwszy, iż miała większą długość. W tem to właściwie miejscu było *viridarium* albo ogród zawierający często fontannę, posągi i wielką ilość kwiatów najżywszej barwy. W końcu ogrodu znajdowało się mieszkanie ogrodnika, a po obu

*) W wielkich pałacach rzymskich *pinacotheca* miała zazwyczaj komunikacyę z *atrium*.

stronach, pod kolumnadą, były jeszcze izby, ile razy tego potrzebowała liczniejsza familia.

Pierwsze i drugie piętro w Pompei, wznoszące się tylko nad częścią zabudowania i obejmujące izby dla niewolników, rzadko kiedy stanowiło ważniejszą część domu; lecz inaczej się działo w pięknych domach w Rzymie, w których główniejsza sala jadalna *coenaculum* mieściła się najczęściej na pierwszem piętrze. Izby zazwyczaj były małe; bo w tym rozkosznym klimacie, ile razy większa ilość zebrała się gości, przyjmowano ich bądź w peristylu lub portyku, bądź w sali wnijścia, bądź nakoniec w ogrodzie. Sale uczt nawet nigdy nie były zbyt wielkie, gdyż starożytni, nie tyle ubiegający się za liczbą jak za wyborem gości, rzadko dawali obiady więcej, niż dziewięciu osobom, a w wielkich domach uczty zastawiane były w salach wnijścia. Lecz ciąg apartamentów, dający się widzieć przy wchodzie, musiał przedstawiać bardzo pokaźny widok. Naprzód uderzała wzrok bogato ozdobna i malowana sala, potem *tablinum*, powabny peristyl, i nakoniec, jeżeli się dalej rozciągało zabudowanie, sala uczt i ogród kończący się wytryskującą fontanną lub marmurowym posągiem.

Czytelnik łatwo teraz poweźmie dokładne wyobrażenie o domach Pompei, które trzymały środek między domową architekturą Greków i Rzymian, więcej jednak zbliżając się do tych ostatnich. Rozkład ogólny wielu domów osnowany był na jednym planie, chociaż wszystkie różniły się w szczegółach. W każ-

dym znajduje się sala wnijścia, *tablinum* i peristyl, mające pomiędzy sobą połączenie; w każdym mury okryte są bogatemi malowidłami alfresco, każdy nakoniec przedstawia zabytek ludu oświeconego a razem miłośnika wytwornego zbytku. Mimo to jednak wątpić można, aby smak mieszkańców Pompei miał dosyć czystości. Ubiegali się oni za kolorami uderzającemi i najdziwaczniejszemi rysunkami. Częstokroć część niższą swych kolumn malowali żywą czerwoną barwą, a resztę zostawiali białą; gdy ogród był mały, mieli zwyczaj przedstawiać w perspektywie na murach drzewa, ptaki, świątynie etc., aby omylić wzrok. Ten wybieg niezręczny przyjął nawet Pliniusz w powabnym swym pedantyzmie, chełpiąc się z tak szczęśliwego wynalazku.

Dom Glauka, chociaż jeden z najmniejszych, należał jednak do liczby tych w przyozdobieniu, których najwięcej podziwiano bogactwo i najkosztowniejsze wykończenie. Dziś jeszcze mógłby on być bez zaprzeczenia nietylko wzorem lecz nawet przedmiotem zawiści i rozpaczy dla niejednego z bezżennych miłośników wytwornych w starożytnym smaku pomieszkań. Długie i wąskie vestibulum, którego mozaikowa posadzka przedstawiała obraz psa, z owym zwykłym u starożytnych napisem: *cave canem* (strzez się psa), stanowiło wnijście do domu. Ponieważ dom nie był tak obszerny, aby mógł się dzielić według przyjętego zwyczaju na apartament prywatny i publiczny, z obu więc stron u wnijścia znajdowało się

po jednej izbie dosyć obszernej i służącej do przyjęcia osób niższego stopnia, lub nietyle z panem domu spoufalonych aby je do udziału w wewnętrznych tajemnicach przypuścić można.

Vestibulum domu Glauka prowadziło do atrium; przy pierwszem odkryciu, atrium ozdobione było malowidłami, które, *co do wyrazu*, uczyniłyby nawet zaszczyt Rafaelowi. Dziś jeszcze są one w muzeum neapolitańskiem i stanowią przedmiot podziwienia znawców; przedstawiają pożegnania Achillesa z Bryzeidą. Któżby nie oddał hołdu sile, mocy, piękności członków i rysów Achillesa i nieśmiertelnej niewolnicy?

Z jednej strony *atrium* małe wschody prowadzą do izb niewolników umieszczonych na piętrze, na którem znajdują się jeszcze dwie małe izby sypialne, ozdobione malowidłami, przedstawiającemi porwanie Europy, potyczkę Amazonek etc.

Ztąd wchodzi się do *tablinum*, u którego dwóch końców zawieszone były bogate kobierce z tyryjskiej purpury, podniesione po bokach, lecz mogące się spuszczać dowolnie zapomocą stosownie urządzonych drzwi. Na ścianach malowidło przedstawiało poetę czytającego przyjaciołom swe wiersze, a mozaika posadzki stanowiła mały obraz wytwornej roboty, wyobrażający dyrektora teatru, nauczającego swych aktorów.

Z tego salonu wychodziło się do perystolu, i w tem miejscu kończył się dom, stosownie do opisanego

przez nas planu mniejszych pomieszkań Pompei. Pomiędzy siedmioma kolumnami, zdobiącemi podwórze, wisiały festony kwiatów. Środek, zastępujący miejsce ogrodu, był napełniony najrzadszemi kwiatami, umieszczonemi w marmurowych naczyniach, wspartych na podstawach. Z lewej strony tego ogródka wznosiła się świątynia w miniaturze, podobna do owych kapliczek stawianych w krajach katolickich u brzegu dróg; świątynia ta, przed którą stoi trójnóg spiżowy, poświęcona była domowym bożkom. Lewy bok kolumnady zawierał dwa małe *cubicula* albo izby sypialne; na prawo było *triclinium*, w którem znajdowali się zgromadzeni w tej chwili goście.

Antykwaryusze neapolitańscy mianować zwykli tę izbę *pokojem Ledy*, biorąc nazwę tę od pełnego smaku i wdzięków obrazu Ledy, ukazującej małżonkowi nowonarodzone swe dzieci; sztych obrazu tego znajduje się w przepysznem dziele sir Williama Gell. Triclinium otwierało się na ogród, napełniony czarującą wonią. Około stołu z drzewa *citrus* *), okrytego świetnym jak zwierciadło polorem, i zlekka ozdobionego srebrnemi arabeskami, stały trzy łóżka, wię-

---

*) Drzewo najwięcej poszukiwane u starożytnych, które jednak nie było naszem cytrynowem drzewem; kilka osób a między niemi uczony M. M. S. Lander, utrzymują z wielkiem podobieństwem do prawdy, że to drzewo było naszym mahoniem.

cej używane w Pompei, niż półokrągłe stołki, które od niejakiego czasu stały się modnemi w Rzymie; na tych łóżkach ze spiżu, ozdobionych kosztowniejszemi kruszcami, leżały okryte bogatem oszyciem poduszki, opierające się rozkosznie ciśnieniu ciała.

— Przyznać należy — rzecze edyl Pansa — że chociaż dom twój nie jest większy od igielnika, jest jednak prawdziwym klejnotem w swym rodzaju. Jak te pożegnania Achillesa z Brizeidą są dobrze oddane. Jaka poezya! jakie głowy! jakie!... ach!

— Pochwały Pansy w podobnym przedmiocie są prawdziwie nieocenione — rzecze poważnie Klaudyusz, gdyż sam posiada obrazy, które śmiało poczytać można za utwory Zeuxisa.

— Prawdziwie pochlebiasz mi, kochany Klaudyuszu—odpowie edyl, którego przecież znano w całej Pompei z najgorszego smaku w wyborze malowideł, gdyż w uniesieniu zapału dla swego miasta nie chciał mieć innych obrazów nad utwory malarzy miejscowych—pochlebiasz mi! A jednak przyznać trzeba, że mają wiele wartości... w kolorycie naprzykład, nie mówiąc o rysunku... Nakoniec kuchnia, przyjaciele... tam wszystko jest mego wynalazku.

— Jakież są w niej malowidła? — spyta się Glaukus;—nie widziałem jeszcze twej kuchni, lubo nieraz miałem zręczność podziwiać sporządzoną w niej ucztę.

— Kucharz, kochany Ateńczyku, poświęcający arcydzieła swej sztuki na ołtarzu Westy, gdy tym-

czasem przepyszna murena, malowana z natury, piecze się w oddaleniu na ruszcie. Przyznasz sam, jak wiele jest w tem wyobraźni.

W tej chwili ukazali się niewolnicy, niosąc na tacy wstępne potrawy uczty... Pomiędzy sałatami świeżemi okrytemi śniegiem, serdelami i jajami, były poustawiane małe czary z winem, w którem rozpuszczono trochę miodu. Gdy danie to postawiono na stole, każdemu z pięciu gości młodzi niewolnicy podawali małe naczynia srebrne, napełnione wonną wodą i serwety oszyte frendzlą z purpury. Lecz edyl z przesadą wyjął z za tuniki własną serwetę, z grubszego wprawdzie płótna, lecz ozdobioną szerszą we dwójnasób frendzlą, i obcierał nią palce z miną człowieka, usiłującego ściągnąć na siebie podziwienie.

— Wspaniała ta *mappa* — rzecze Klaudyusz— frendzla jej tak jest szeroką, jak pas.

— Drobnostka, kochany Klaudyuszu, drobnostka. Mówiono mi, że oszycie to jest w najlepszym smaku rzymskim; lecz Glaukus na tych rzeczach lepiej się zna odemnie.

— Bądź nam przychylny, o Bachusie! — zawoła Glaukus, zginając się z uszanowaniem przed prześlicznym małym posągiem bożka umieszczonym w środku stołu, którego rogi zajmowały domowe bożki i solniczki. Goście powtórzyli modlitwę, poczem rozlaniem wina na stół uczynili zwykłe libacye.

Po odbyciu tej ceremonii, biesiadnicy położyli się na łóżkach i uczta się rozpoczęła.

— Niech ta czara będzie dla mnie ostatnią, jeżeli wino to nie jest najlepsze, jakie piłem w Pompei —rzecze młody Sallustyusz, wypróżniając podniesiony sobie przez podczaszego *cyathus*, podczas gdy niewolnicy, sprzątnąwszy pierwsze danie, zastawiali potrawy pożywniejsze.

— Przynieście amforę—rzecze Glaukus — i odczytajcie datę jej i gatunek.

Niewolnik pośpieszył uprzedzić gości, że według uwiązanego u zatknięcia amfory napisu, wino było z Chio i miało pięćdziesiąt lat.

— Jak rozkosznej świeżości śnieg mu udzielił —rzecze Pansa; — świeżość właśnie w tym stopniu, jakiego to wino wymaga.

— Działa ono na człowieka, jak doświadczenie —zawoła Sallustyusz, miarkując swe rozkosze tyle, aby je uczynić dwa razy przyjemniejszemi.

— Albo jak *nie* kobiety—doda Glaukus—które oziębia na chwilę dlatego aby w nas rychło silniejszy rozniecić ogień

— Kiedy mieć będziemy zapowiedzianą walkę dzikich zwierząt?—spyta się Klaudyusz Pansy.

— Zapowiedziano ją na połowę sierpnia—odpowie Pansa — nazajutrz po uroczystościach Wulkana. Mamy mieć w tem zdarzeniu nader miłego młodego lwa.

— Kogo przeznaczono mu do pożarcia? — spyta się dalej Klaudyusz.—W tej chwili wielki jest niedostatek zbrodniarzy. Mnie się zdaje, Pansa, że w tym

razie zmuszony zostaniesz poświęcić dla lwa niewinnego.

— Wyznam ci, że od niejakiego czasu głęboko się nad tem zastanawiam—odpowie edyl z wielką powagą. Sromotne to prawo, które nam zabrania dawać na pożarcie zwierząt własnych niewolników naszych!

— Tak się nie działo za dawnych czasów—rzecze Sallustyusz.

— Ta mniemana ludzkość względem niewolników pozbawia zresztą lud jednej z najmilszych jego rozrywek. O, jak mu jest miłem widzieć silniejszą cokolwiek walkę człowieka ze lwem! Mimo to jednak, dzięki temu prawu, zmuszonym będzie zrzec się tej niewinnej rozkoszy, jeżeli bogowie nie ześlą nam jakiego znakomitego zbrodniarza.

— Nic niemasz mniej stosownego—powie Klaudyusz tonem nadętości — jak przeszkadzać szlachetnym zabawom ludu.

W tej chwili rozmowa na czas krótki przerwana została harmonią fletów, a dwaj niewolnicy wnieśli jeden półmisek.

— Jakąż to jeszcze delikatną potrawą pragniesz uraczyć nas, mój Glauku?—zawoła młody Sallustyusz z oczyma zaiskrzonemi.

Sallustyusz nie miał więcej jak lat dwadzieścia cztery, lecz w życiu znał tylko rozkosze stołu, a może już wszystkie inne wyczerpał. Nie zbywało mu jednak na dowcipie i miał serce o ile można najlepsze.

— Poznaję ją po kształcie, na Polluxa! — wykrzyknął Pansa:—jest to ambracyjskie kozlę. Stola! —dodał, czyniąc palcami znak przyjęty do zawołania niewolników, przygotujcie drugą libacyę na uczczenie nowoprzybyłego

— Spodziewałem się poczęstować was brytańskiemi ostrygami — rzecze smutnie Glaukus — lecz wiatry, które i dla Cezara tak okazały się okrutnemi, pozbawiły mię tej przyjemności.

— Czyż w istocie są one tak doskonałe?—spyta się Lepidus, rozwiązując tunikę, z której już przedtem zdjął pas, aby być swobodniejszym.

— Wyznać muszę iż często myślałem, że tylko sama odległość stanowi ich zaletę; nie mają one smaku bryndejskich ostryg, lecz bez nich w Rzymie niemasz doskonałej wieczerzy.

— Ci biedni Brytanie mają przecież choć jeden produkt, którym poszczycić się mogą. Kraj ich rodzi ostrygi!

— Chciałbym, aby nam dostarczyli gladyatora —rzecze Edyl, którego przezorny umysł nie przestawał ani w tej chwili zatrudniać się potrzebami amfiteatru.

— Przez Minerwę! — zawoła Glaukus podczas gdy wilgotne skronie jego ulubiony niewolnik wieńczył świeżą girlandą—lubię dosyć te dzikie widowiska, ile razy zwierzęta walczą ze zwierzętami; lecz gdy obojętnie wrzucają w szranki człowieka z takąż krwią i ciałem, jak nasze, aby był rozszarpany na

sztuki, zajęcie staje się zbyt okropnem. Tracę natenczas serce, zaledwie mogę oddychać; pałam chęcią pospieszenia na ratunek nieszczęśliwego. Okrzyki pospólstwa zdają mi się ohydniejszemi nad wrzaski Furyi ścigających Oresta. W istocie cieszy mię to, że według wszelkiego prawdopodobieństwa podczas świąt nadchodzących nie będziemy świadkami tej krwawej sceny.

Edyl wzruszył ramionami. Młody Sallustyusz, jakkolwiek uchodzący na najłagodniejszego człowieka w Pompei, skierował na Glauka wielkie oczy pełne zadziwienia; powabny Lepidus chociaż jaknajmniej zwykł mówić, aby nie zaszkodzić harmonii rysów twarzy, wykrzyknął: *Per Hercle*! Dworak Klaudyusz mruknął *Aedepol*; a szósty biesiadnik, *umbra* Klaudyusza, który poczytywał za powinność być echem bogatego przyjaciela, ile razy nie miał sposobności wysilać się na jego pochwały, jednem słowem dworak dworzanina, powtórzył za nim: *Aedepol*.

— Ale bo wy, mieszkańcy Włoch, jesteście przyzwyczajeni do podobnych widowisk; Grecy mają więcej litości. O cienie Pindara! Jakież uniesienie zawiera się w prawdziwych igrzyskach greckich! w współzawodnictwie człowieka, walczącego z człowiekiem! w ich wspaniałomyślnej walce! w ich tryumfie, połączonym ze smutkiem! w dumie walczenia z godnym siebie nieprzyjacielem, i w słodyczy widoku zwyciężonego!... Lecz wy mnie nie rozumiecie.

— To koźlę jest doskonałe—rzecze Sallustyusz.

Niewolnik, któremu poruczono pokrajanie koźlęcia, dumny ze swego talentu, dopełnił był tego dzieła przy dźwięku muzyki, idąc w poruszeniach noża za taktem melodyi, która, rozpocząwszy się pianissimo, zakończyła się wspaniałym tonem.

— Kucharz twój jest zapewne Sycylijczykiem? rzecze Pansa.

— W samej rzeczy, jest z Syrakuzy.

— Rozegrajmy się o niego — rzecze Klaudyusz; zróbmy partyę między daniami.

— Lubo prawdę mówiąc, przenoszę tę walkę nad te, jakie się dają w cyrku, nie chcę jednak postradać mego Sycylijczyka. Trudno znaleźć tak nieocenionego niewolnika.

— Stawię zań Fillidę, moją piękną tancerkę.

— Ja nigdy nie kupuję kobiet — rzecze Grek, poprawiając niedbale girlandę.

Muzycy, umieszczeni w portyku, zaczęli byli grać, gdy krajano koźlę. Ich melodya stała się wkrótce łagodniejszą, weselszą, a jednak wznioślejszego cokolwiek charakteru. Śpiewali odę Horacyusza: *Persicos odi*, której niepodobna przetłómaczyć, a którą poczytali za stosowną do dawanej uczty jakkolwiek zniewieściałej dla naszych obyczajów, w istocie jednak dosyć skromnej wśród wyuzdanego zbytku, jaki w tej epoce panował. Była to jednem słowem wieczerza domowa, nie zaś królowska, uroczystość obywatela, dobrym obdarzonego smakiem, a nie ta, jakąby dał Cesarz lub Senator.

— Ach! mój drogi stary Horacy — rzecze Sallustyusz tonem politowania,—opiewał on dość powabnie uczty i młode dziewczęta; lecz daleko mu do naszych nowożytnych poetów.

— Nieśmiertelny Fulwiusz, naprzykład — rzecze Klaudyusz.

— Ach! Fulwiusz nieśmiertelny, — powtórzył umbra (cień).

— A Sparaena, a Kajus Mucius, który trzy bohaterskie poematy napisał w ciągu roku. Horacyusz, a nawet Wirgiljusz czyliżby zdołali uczynić co podobnego? Wszyscy ci starożytni poeci popełnili ten błąd, iż więcej naśladowali snycerstwo, niż malarstwo. Prostota i spoczynek, to było ich stałe wyobrażenie; lecz my, nowożytni, my posiadamy ogień, namiętność, energię, my nie zasypiamy nigdy i naśladujemy malarstwo, jego czynność i życie. Nieśmiertelny Fulwiusz!

— Ale, ale—rzecze Sallustyusz czyście czytali nową odę Sparaeny na cześć naszej egipskiej Izydy? Jest wspaniała, napełniona prawdziwym religijnym zapałem.

— Izys zdaje się być ulubionem bóstwem w Pompei—rzecze Glaukus.

— Tak jest—odpowie Pansa, w tej chwili zwłaszcza bogini ta wielką posiada wziętość. Posąg jej dał nadzwyczajne wyrocznie. Nie jestem przesądny, a jednak wyznać muszę, iż nieraz bardzo zbawienne

w mem urzędowaniu otrzymałem od niej porady. Prócz tego kapłani jej są tak pobożni! Nie ubiegają się za tą światowością, nie mają tej dumy, jaka cechuje kapłanów Jowisza lub Fortuny; nie noszą obuwia, nie jedzą mięsa, a większą część nocy trawią samotnie na modlitwach.

— Jest to prawdziwie piękny przykład dla innych naszych kapłanów. Świątynia Jowisza wielkiej potrzebuje reformy,—powie Lepidus, będący zawołanym reformatorem, lecz tylko co do innych.

— Powiadają, że Arbaces z Egiptu kapłanom Izydy udzielił kilku nowych i wielkich tajemnic—rzecze Sallustyusz; chełpi się on pochodzeniem z plemienia Ramazès i utrzymuje, że familia jego posiada tajemnice najdawniejszej starożytności.

— Rzecz niewątpliwa, iż posiada dar złego oka,—powie Klaudyusz; ile razy napotkam tę głowę Meduzy bez uzbrojenia się obrończym urokiem, zawsze jestem pewny albo straty ulubionego konia, albo przynajmniej najniepomyślniejszego obrotu gry w kości.

— Prawdziwie to się tylko chyba cudem stać może—rzecze poważnie Sallustyusz.

— Co przez to rozumiesz, Sallustyuszu? zapyta gracz zapłoniony.

— Rozumiem to, cobym miał, gdybym często grał z tobą, to jest... nic.

Klaudyusz odpowiedział na to tylko uśmiechem pogardy.

— Gdyby Arbaces nie był tak bogatym— rzecze Pansa z powagą,—nadużyłbym nieco mej władzy i starałbym się wyśledzić, jak dalece rzetelną jest ta wieść, która go czyni czarownikiem i astrologiem. Gdy Agryppa był edylem w Rzymie, wypędził zeń wszystkich tych okropnych obywateli. Lecz człowiek bogaty!... Jest powinnością edyla protegować bogatych ludzi.

— Co myślicie o tej nowej sekcie, która zdobyła, jak mówią, kilku wyznawców w Pompei, o tych czcicielach hebrajskiego boga, Chrystusa?

— Są to tylko ludzie oddani swym urzędom— odpowie Klaudyusz; niema pomiędzy nimi żadnego porządnego człowieka. Ich wyznawcy są ubodzy, nieznaczący, nieoświeceni!

— Lecz należałoby ich ukrzyżować za bluźnierstwa—rzecze gwałtownie Pansa; nie wierzą w Wenerę i Jowisza. Kto powie: Nazarejczyk, powie: ateusz. Jeśli się dostaną w me ręce, potrafię z nimi postąpić.

Drugie danie zebrano i biesiadnicy pokładli się znowu na łóżkach; nastąpiła chwila milczenia, podczas której przysłuchiwano się łagodnym południowym śpiewom i dźwiękom arkadyjskiej trzciny. Glaukus najmniej doświadczał chęci rozpoczęcia nanowo rozmowy, lecz Klaudyusz zaczynał już wołać, iż czas drogi uchodzi.

— *Bene vobis* (zdrowie twoje!) kochany Glauku, rzecze, wypróżniając jedną czarę do każdej litery imienia przyjaciela, z całym wdziękiem doświadczo-

nego pijaka. Czy nie masz ochoty pomścić się za wczorajszy los nieprzychylny?

Patrz; kości się nam uśmiechają.

— Jak ci się podoba—rzecze Glaukus.

— Grać w kości w sierpniu — rzecze Pansa tonem urzędnika; zważcie, że jestem edylem; to jest przeciwne prawu.

— Lecz nie w twej obecności, poważny Panso— rzecze Klaudyusz, wstrząsając kośćmi; obecność twoja jest rękojmią przeciw zbytkowi. Prawo zabrania nie użycia, lecz nadużycia.

— Co za mądrość!—zawoła umbra.

— Niech i tak będzie, lecz ja odwrócę głowę,— powie edyl.

— Jeszcze nie czas, dobry Panso; poczekaj, aż skończymy wieczerzę—rzecze Glaukus.

Klaudyusz uległ z żalem, a nieukontentowanie swe pokrył ziewaniem.

— Otwiera usta, aby połknąć złoto—rzecze z cicha Lepidus do Sallustyusza, cytując Aulularia Plauta.

— O, jak znam dobrze tych polipów, pochłaniających wszystko, czego się dotkną! — odpowie Sallustyusz tym samym tonem i cytując tę samą poezyę.

Umieszczono na stole drugie danie, składające się z rozmaitych owoców, konfitur i półmisków z potrawami ułożonemi w dziwaczne i lekkie formy, a tak nazwani *ministri* przynieśli wino, które aż dotąd roz-

dawane było biesiadnikom przez niewolników; napój ten zawierał się w wielkich flaszach szklanych opatrzonych kartkami z napisami lat i gatunku wina.

— Skosztuj tego Lesbijczyka, Panso — rzecze Sallustyusz; jest wyborny.

— Niedosyć jest stary — rzecze Glaukus, lecz zestarzał się, jak i my, przez ogień, wino, płomienie Wulkanu, a nawet te, jakie rozpala jego małżonka, na której cześć spełniam ten kielich.

— Jak piękna czara!—zawoła Klaudyusz, ukazując naczynie z przejrzystego kryształu, którego rękojeście, ozdobione kamieniami kosztownemi, miały kształt węża, stosownie do panującego wówczas smaku w Pompei.

— Ten pierścień — rzecze Glaukus, zdejmując z pierwszego stawu palca kosztowną ozdobę, którą zawiesił na rękojeści czary, nadaje jej blask żywszy i czyni ją godniejszą ciebie, kochany Klaudyuszu. Niech bogowie utrwalą twe zdrowie i dozwolą ci spełniać ją często aż do dna!

— Jesteś zbyt wspaniały, o Glauku — rzecze gracz, oddając czarę swemu niewolnikowi, — lecz przyjaźń twa podwaja wartość daru.

— Piję za zdrowie Greków! — rzecze Pansa, spełniając po trzykroć czarę. Inni biesiadnicy poszli za jego przykładem.

— Hola! — zawoła Glaukus,—niech nam dadzą usłyszeć hymn, który ułożyłem ostatniej nocy. Dałem mu tytuł: *bachiczny hymn godzin.*

Muzycy zaczęli przygrywać w trybie jońskim, gdy tymczasem najmłodsi chórzyści odśpiewali po grecku następne wyrazy:

HYMN WIECZORNY

ŚPIEWANY PRZEZ GODZINY.

I.

Już dzień znika.— Pędzone wieczornym powiewem
Nim u podwojów nocy staniemy, niestety!
Żegnajcie nas, żegnajcie uroczystym śpiewem,
Nucąc jak niegdyś piękność uwieziona z Krety, (*)

Zdradzonej przez Tezeusza
Bożek wina łzy osusza,
Już nie płacze pocieszona:
Wzrok jej ogniem żądzy płonie,
Ogień w drżącem czuje łonie
Nową miłością natchniona.
Usta się z usty spoiły,
Z dzikiego cząbru posłanie.
Wieńce bluszczu osłoniły....
A gdzie oko było w stanie

(*) Aryadna, córka Minosa.

Za cieniste wkraść się sploty,
Pić, śmiać się i pląsać rada,
Złośliwa Faunów gromada
Śledziła boskie pieszczoty.

II.

Znużone goniąc za słońca rydwanem,
Abyśmy przy was spoczęły wesoło,
Dalej! uderzcie kolanem
Przed bóstwem, którego czoło,
Jaśnieje blaskiem swobody,
I moszczem winnej jagody
Napełnione chyląc flasze,
Szybkim strudzone lotem zmoczcie skrzydła nasze.
Dalej! czara dla Jowisza,
On świat wstrząsa i ucisza;
Czara i różowy wianek
Dla najpiękniejszej z niebianek; (*)
Czara dla Eufrozyny, Talii, Aglaï; (**)
Trzy, na cześć potomka Maï. (***)

(*) Wenery.
(**) Imiona trzech Gracyi.
(***) Bachusa.

III.

I nam głęboka czara!... Szczęśliwy, kto zdoła
Rozkoszą życia krótkie upajać godziny!
Śpieszcie się!... już je noc woła,
Już u stóp góry kwitnące krzewiny,
Przed waszem skrywając okiem,
Ponurym zasuwa mrokiem,
Jeszcze kubek ostatni!... Gdy nam gwiazda zorzy
Jasne dnia wrota otworzy,
Wprzód nim Febus złoto-włosy
Promienne rozwinie szaty,
Wrócimy, by odświeżyć waszych wieńców kwiaty
Perłami niebieskiej rosy.

Biesiadnicy huczne dali oklaski. Gdy poetą jest nasz Amfitryon, wiersze jego zawsze się zdają doskonałemi.

— Jest to prawdziwie greckie—rzecze Lepidus; niepodobna naśladować po łacinie śmiałości, mocy, energii tego języka.

— Wyznać należy—rzecze Klaudyusz z pewną ironią, którą jednak usiłował pokryć starannie, że poezya ta znakomitą stanowi sprzeczność z ową starożytną i bojaźliwą prostotą ody Horacyusza, którąśmy przed chwilą słyszeli. Melodya japońska jest prześliczna... Ten wyraz przypomina mi jedno zdro-

wie, które spełnić pragnę... Przyjaciele, piję zdrowie pięknej Jony.

— Jony... to imię jest greckie—rzecze Glaukus łagodnym głosem. Spełniam to zdrowie z wielkiem ukontentowaniem. Lecz któż jest ta Jona?

— Prawda, żeś tylko co przybył do Pompei, inaczej zasługiwałbyś na ostracyzm za twą niewiadomość—rzecze Lepidus z przesadą; kto nie zna Jony, ten nie zna najpiękniejszego powabu naszego miasta.

— Jest najrzadszą pięknością, rzecze Pansa; a przytem jaki głos!

— Ona się żywi językami słowików, rzecze Klaudyusz.

— Językami słowików! jak piękna myśl! powtórzył umbra, wzdychając.

— Oświećcie mię, zaklinam was—rzecze Glaukus.

— Dowiedz się więc... rzecze—Lepidus...

— Pozwól mi mówić—przerwał Klaudyusz; wyrazy twe ciągną się, jak gdyby mowa twa była żółwiem.

— Twoja jest kamieniem, mruknął modniś, rozciągając się niedbale na łóżku.

— Dowiedz się więc, kochany Glauku—rzecze Klaudyusz, że Jona jest cudzoziemką, niedawno do Pompei przybyłą. Śpiewa, jak Safo, poezye własnego utworu; a co się tyczy fletu, cytry, liry, na każdym z tych instrumentów gra tak doskonale, że niepodobna wyrzec, na którym z nich jest wyższą nad Muzy. Piękność jej jest zachwycająca; dom doskonały;

smak, którego niepodobna naśladować. Jakie klejnoty! jakie bronzy! Jest bogata i tak wspaniała, jak bogata.

— Zapewne względy jej kochanków nie pozwalają jej doświadczać niedostatku; pieniądze łatwo zyskane trwonią się również łatwo.

— Jej kochanków... Ach! w tem to właśnie zagadka. Jona ma tylko jedną wadę... jest czystą; u nóg jej jest cała Pompeja, a ona nie zna miłości. Nie chce nawet iść za mąż.

— Nie ma kochanków—powtórzył Glaukus.

— Tak jest; posiada duszę Westy, a pas Wenery.

— Co za wybór wyrażeń—rzecze umbra.

— To cud prawdziwy - zawoła Glaukus. Czy nie mógłbym jej poznać?

— Przedstawię cię jej tego jeszcze wieczora. Tymczasem...—dodał, wstrząsając raz jeszcze kośćmi...

— Jestem na twe rozkazy—rzecze uległy Glaukus. O Panso! odwróć głowę.

Lepidus i Sallustyusz grali w cetno i licho, a umbra przypatrywał się grze, Glaukus z Klaudyuszem rychło całą zwrócili uwagę na wypadki rzutów kości.

— Przez Jowisza! zawoła Glaukus, a to już drugi raz wyrzucam małe pieski (najsłabsze punkty).

— Teraz, o Wenero! bądź mi przychylną—rzecze Klaudyusz, wstrząsając długi czas kośćmi... O *alma* Wenus... to sama Wenus! dodał, wyrzucając naj-

wyższy punkt, zwany imieniem tej bogini, która, w samej rzeczy, sprzyja zwykle tym, co wygrywają pieniądze.

— Wenus jest dla mnie niewdzięczną, rzecze wesoło Glaukus; a jednak całe życie paliłem na jej ołtarzach ofiary.

— Kto gra z Klaudyuszem—rzecze zcicha Lepidus, jak Kurkulio Plauta, zostanie rychło zmuszonym postawić swą torbę.

— Biedny Glaukus, tak jest ślepy, jak sama Fortuna—rzecze Sallustyusz również cichym głosem.

— Nie chcę grać więcej—rzecze Glaukus, przegrywam trzydzieści sesterców.

— Żałuję mocno... rzecze Klaudyusz.

— Jaki miły człowiek! powie umbra.

— Nie wierzę w ten żal—zawoła Glaukus, gdyż przyjemność, jaką ci sprawia wygrana, przeważa bezwątpienia żal mojej straty.

Rozmowa stała się w tej chwili powszechną i ożywioną; obficiej krążyły czary z winem, a Jona stała się znowu przedmiotem pochwał biesiadników Glauka.

— Zamiast czuwać tu dłużej, niż gwiazdy, idźmy odwiedzić tę, której piękność blask ich przytłumia—rzecze Lepidus.

Klaudyusz, nie widząc środka wznowienia gry, poparł ten projekt, a Glaukus, lubo przez grzeczność nie przestawał zniewalać gości, aby nie opuszczali stołu, nie zdołał jednak pokryć ciekawości, jaką

w nim obudziły pochwały Jony. Zgodnie więc wszyscy, wyjąwszy Pansę i umbrę, postanowili udać się do pięknej Greczynki. Spełniwszy jeszcze raz zdrowie Glauka i Tytusa, i uczyniwszy ostatnie libacye, pokładli zrzucone obuwia, zeszli ze wschodów, przebyli oświecone atrium, i wyszli za drzwi, nie zostawszy bynajmniej ukąszonymi przez srogiego psa, którego wyobrażenie znajdowało się u progu; ztamtąd, przy blasku księżyca, który się podniósł w tej chwili, weszli na zaludnione jeszcze i pełne życia ulice Pompei.

Przebywszy część miasta, zamieszkaną przez złotników, których sklepy jaśniały blaskiem poukładanych klejnotów, zbliżyli się nakoniec do drzwi mieszkania Jony. Vestibulum oświecone było długiemi rzędami lamp; zasłony z ozdobnej purpury zastępowały miejsce drzwi u obu wnijść tablinum, którego ściany i mozaikowa posadzka jaśniały najbogatszemi kolorami; pod portykiem zaś otaczającym przejęte wonią kwiatów viridarium, znaleźli Jonę już otoczoną uwielbiającym ją tłumem.

— Wszakżeś mówił mi, że ona jest Atenką? rzecze zdicha Glaukus, wprzód nim wszedł do peristylu.

— Nie, jest z Neapolis.

— Z Neapolis! powtórzył Glaukus. W tej chwili ciżba się rozstąpiła, i ujrzał nagle tę świetną piękność, tę postać Nimfy, która od kilku miesięcy żyła w jego pamięci.

ROZDZIAŁ IV.

Świątynia Izydy. — Jej kapłan. — Charakter Arbacesa rozwija się.

Bieg powieści naszej zwraca nas do Egipcyanina. Zostawiliśmy go nad brzegiem morza, w chwili, gdy opuścił Glauka i jego przyjaciela. Zbliżając się do części odnogi więcej uczęszczanej, Arbaces zatrzymał się i, założywszy na krzyż ręce, przypatrywał się tej ożywionej scenie z gorzkim na ponurych swych rysach uśmiechem.

— Głupcy niedołężni, wy ślepe narzędzia! zawołał do siebie; czy się zajmujecie dziełami, handlem lub religią, czy się ubiegacie za rozkoszami, jesteście zarówno igraszką namiętności, nad któremi władać byście powinni! O jakbym wami pogardzał, gdybym was mniej nienawidził! tak jest, nienawidzę was:

Grecy czy Rzymianie! od nas to, z ogniska umiejętności ukrytego w Egipcie, porwaliście ten ogień, któremu winniście wasze dusze, waszą umiejętność, waszą poezyę, wasze kunszta, waszą barbarzyńską sztukę wojny, lecz jak dalece wszystko to w rękach waszych stało się zeszpeconem, nieszlachetnem! Wykradliście nam to, co umiecie, jak niewolnik kradnie ostatki biesiady! A teraz, wy, Rzymianie, naśladowcy naśladowców, potomkowie zgrai łotrów, wy jesteście naszymi panami! Piramidy nie widzą już plemienia Ramazès; orzeł panuje nad wężem Nilu. Lecz, co mówię, naszymi panami? nie, przynajmniej nie jesteście *moimi*. Moja dusza swą wyższą umiejętnością panuje nad wami i wiąże was, lubo nie widzicie tych więzów. Dopóki chytrość przemagać będzie nad siłą, dopóki wyznanie nasze posiada jaskinię, z głębi której wyrocznie zdołają omamiać rodzaj ludzki, mędrcy posiadać będą władzę na ziemi. Arbaces z waszych występków umie czerpać dla siebie rozkosze, rozkosze, których nie znieważa oko gminu, rozkosze rozległe, bogate, niewyczerpane, których ani pojąć ani wystawić nie zdołają wasze dusze wysilone i hołdujące grubej zmysłowości. Pracujcie, pracujcie zawsze, niewolnicy dumy i skąpstwa; wasza żądza konsularnych wiązek, kwestorotów i wszystkich błyskotek władzy rodzi we mnie śmiech i politowanie. Moja władza rozciąga się wszędzie, gdzie tylko wierzą ludzie. Mogą upaść Teby, Egipt istnieć tylko może

z imienia, lecz świat cały dostarczy poddanych Arbacesowi.

Mówiąc to, Egipcyanin szedł zwolna. Gdy się zbliżył do miasta, przecisnął się przez tłum ludzi zgromadzonych w forum, nad którymi dumnie wznosiła się jego głowa, i skierował swe kroki ku małej, lecz pełnej wdzięku świątyni Izydy.

Budowla ta w epoce naszej powieści od lat kilku dopiero wzniesioną była; dawniejszą świątynię przed szesnastu laty wywróciło trzęsienie ziemi, a nowa rychło u niestałych Pompejan wielkiej nabyła wziętości. Jeżeli nie samo bóstwo dawało wyrocznie, były one przynajmniej dziełem doskonałej znajomości ludzi; znaczenie ich stosowało się z największą dokładnością do położenia indywiduów, i pod tym względem tworzyło uderzającą sprzeczność z owem czczem i niewyraźnem znaczeniem przepowiedni współzawodniczących świątyń.

Gdy Arbaces zbliżył się do parkanu, oddzielającego część niepoświęconą od świętego obrębu, tłum osób z klas różnych, najwięcej jednak z kupieckiej, otaczał w głębokiem uszanowaniu umieszczone w tym obrębie rozmaite ołtarze. Nisze w murach *Celli*, wznoszącej się na siedmiu stopniach paryjskiego marmuru, zawierały rozmaite posągi, a przestrzeń wewnętrzna obejmowała posągi Izydy i tajemniczego bożka milczenia, Horus, stojące na jednej podłużnej podstawie. Wiele innych bóstw było zgromadzonych w tem miejscu, tworząc dwór egipskiego bożyszcza.

Był to jego krewny Bachus, bożek o stu imionach, wychodząca z kąpieli cypryjska Tremis, czyli przekształcenie greckie samej Izydy, Anubis z psią głową, wół Apis i mnóstwo bałwanów egipskich w dziwacznych kształtach i nieznanych imion.

Po obu stronach tej przestrzeni stały tłumy ofiarników, odzianych w białe szaty, w oddaleniu zaś byli dwaj kapłani niższego rzędu, z których jeden trzymał gałązkę palmową, drugi zaś cienki snop zboża. Wąskie przejście na przodzie natłoczone było pobożną i ciekawą ciżbą.

— Jaki powód zgromadza was w tej chwili przed ołtarze czcigodnej Izydy?—spyta cicho Arbaces kupca prowadzącego handel z Aleksandryą, tem miastem, którego handlowe stosunki dopomogły pierwiastkowo ku wprowadzeniu do Pompei czci egipskiego bóstwa. Wnosząc z białych szat ofiarników i zgromadzenia się tylu kapłanów, zdaje się, iż się sposobi ofiara i że oczekujecie na wyrocznię. Na jakież to pytanie odpowiedzieć mają bogowie?

— Jesteśmy kupcami—odpowie osoba, do której przemówił Arbaces, a którą był ów Dyomed, znany już czytelnikowi; dowiedzieć się pragniemy, jaki los gotują nieba dla statków, które jutro płyną do Aleksandryi. Sposobimy się tedy do złożenia ofiary i błagania o odpowiedź bogini. Możesz poznać z mego ubioru, iż nie należę do rzędu tych, którzy żądają ofiary, mam jednak interes życzyć powodzenia flocie... Tak jest, przez Jowisza! prowadzę znakomity handel;

inaczej bowiem jakżebym się zdołał utrzymać w tych tak trudnych czasach?

Egipcyanin odpowiedział z powagą, że lubo, właściwie mówiąc, Izys była tylko boginią rolnictwa, sprzyja jednak również handlowi. Potem, obróciwszy się ku wschodowi, Arbaces zdawał się być pożerany dotkliwą myślą.

W tej chwili ukazał się na środku wschodów kapłan odziany białą szatą od nóg do głowy, którą zdobił wieniec, i mający twarz w połowie okrytą zasłoną. Dwaj nowi kapłani, nadzy do połowy piersi, a w reszcie ciała okryci długiemi białemi szatami, przybyli zastąpić tych, którzy aż dotąd stali u dwóch rogów świątyni. Jednocześnie inny kapłan, siedzący u spodu wschodów, zanucił pieśń poważną na długim instrumencie dętym; w połowie wysokości przysionka znajdował się inny *flamen*, trzymając w jednej ręce białą rószczkę, w drugiej zaś ofiarną girlandę. Nakoniec dla uzupełnienia malowniczego wyrazu tej wschodniej ceremonii, wspaniały ibis, ptak poświęcony czci egipskiego bóstwa, przyglądał się w cichości obrzędom z wierzchołka muru, lub przechadzał się wolnym krokiem u spodu wschodów ołtarza.

Przed tym ołtarzem znajdował się ofiarnik *)

*) W Muzeum neapolitańskiem znajduje się dziwny obraz przedstawiający ofiarę egipską.

Postawa Arbacesa postradała zwykłą sobie surową ciszę, gdy wieszczkowie przyglądali się wnętrznościom ofiar. Zdawał się być przejęty pobożną niespokojnością, a oblicze jego rozjaśniało się i objawiało radość w miarę, jak oznajmiano, że znaki były pomyślne i że iskrzące się płomienie wśród wonnych dymów kadzidła i mirry zaczynały trawić święte części ofiary. Nagle szmer zebrania zastąpiła głęboka cichość, a gdy się kapłani zgromadzili około Celli, inny kapłan, nie mający innej odzieży prócz pasa na biodrach, zaczął tańcować z dziwacznemi poruszeniami, i zaklinał boginię, aby udzieliła odpowiedzi. Znużony w końcu zatrzymał się, a lekki szmer rozległ się we wnętrznościach posągu; trzy razy bóstwo wzruszyło głową i otwarło usta; nakoniec głos grobowy wyrzekł te tajemnicze słowa:

Pienią się wściekłe morza gniewnego bałwany,
Burza twarde skał szczyty zasiewa trupami,
Zewsząd śmierci zniszczenia widok opłakany;
Lecz spoczynek u portu, bo Niebo za wami.

Głos umilkł, a ciżba spokojniej zaczęła oddychać; kupcy przyglądali się sobie w milczeniu.

— Nic niemasz jaśniejszego—szepnął Dyomed —będzie burza na morzu, jak to się często zdarza na

początku jesieni, lecz nasze okręty zostaną ocalone. O, dobroczynna Izys!

— Niech będzie pochwaloną na wieki! — zawołali kupcy; — cóż może być wyraźniejszego nad tę przepowiednię?

Wielki kapłan, podnosząc jedną rękę dla nakazania milczenia, albowiem obrzędy Izydy wymagały trudnej do osiągnienia od Pompejan spokojności, rozlał na ołtarz libacyę, i po krótkiej ostatecznej modlitwie, ceremonia ukończoną a zgromadzenie zostało pożegnane. Po rozpierzchnieniu się jednak ciżby na wszystkie strony, Egipcyanin pozostał jeszcze przy parkanie, a gdy przejście całkiem się uwolniło, jeden z kapłanów zbliżył się doń i powitał go z przyjazną poufałością.

Twarz tego kapłana była szczególnie odrażającą. Golona głowa jego była tak płaską, a czoło tak wąskie, że kształt jej zbliżał się w podobieństwie do składu głowy dzikiego Afrykanina, wyjąwszy skronie, na których organ w języku umiejętności nowożytnej z imienia, z rzeczy jednak znanej doskonale w starożytności jak o tem poświadczają dawne posągi—organ, zwany *nabyciem*, tworzył dwie ogromne nadprzyrodzone prawie wypukłości, dopełniające dziwaczny kształt tej głowy. Około powiek skóra tworzyła siatkę głębokich i krzyżujących się z sobą zmarszczek; oczy czarne i małe nurzały się w przestrzeni żółto-brudnego koloru; w krótkim lecz szerokim nosie były nozdrza otwarte jak u satyra, gdy

tymczasem szerokie i blade usta, wystające wypukłości twarzy, zmienna barwa wybladłej cery odbijającej się na skórze podobnej do pergaminu, dopełniały oblicza nietylko rodzącego odrazę, lecz często obudzającego nieufność i przestrach. Zbliżający się doń czuł łatwo, że jakiekolwiekby żądze powzięła dusza, ciało to zdolnem było wykonać je bez wyboru. Silne muskuły szyi, pierś szeroka, długie i chude ręce, obnażone wyżej łokcia, ukazywały budowę zdolną zarazem i działać z energią i cierpieć z wytrwałością.

— Kalenie—rzecze Egipcyanin do tej powabnej osoby—idąc za memi radami, znacznie udoskonaliłeś głos posągu, a wiersze twe są wyborne. Przepowiadaj zawsze los pomyślny, wyjąwszy, gdyby spełnienie go było zupełnem niepodobieństwem.

— Zresztą—dodał Kalenus—jeżeli burza powstanie i pochłonie przeklęte okręty, czyliżeśmy tego nie przepowiedzieli? Czyliż spoczynek nie jest w porcie? Czyż nam nie mówi Horacy, że żeglarz morza Egejskiego błaga bogów o spoczynek; a gdzież nim lepiej nacieszyć się może, jak w głębi bałwanów?

— To prawda, mój Kalenie; życzyłbym, aby Apaecides brał przykład z twej mądrości, lecz chcę się z tobą rozmówić o nim i o innych jeszcze przedmiotach; czylibyś nie mógł przyjąć mię w jednej z twych izb najmniej świętych.

— Chętnie, odpowie kapłan, prowadząc go do jednej z małych izb otaczających drzwi otwarte. Tam zasiedli przy małym stole, na którym zastawiono owo-

ce, jaja, rozmaite gatunki zimnego mięsa i naczynia z doskonałem winem. Zasłona, zamykająca otwór izby ze strony podwórza, zakrywała ich dostatecznie przed wzrokiem ciekawych, nie była jednak tak gruntowną zaporą, aby nie potrzebowali pamiętać bezustannie, że tylko mówiąc cicho, mogli ukryć swe tajemnice przed obcym słuchem.

— Wiesz o tem—rzecze Arbaces głosem tak cichym i tak stłumionym, iż zaledwie mocą jego wzruszało się otaczające powietrze—wiesz o tem, że zawsze maksymą moją było przywiązywać się do młodości. W tym wieku uległy i niewykształcony umysł przedstawia mi potrzebną materyę do uczynienia z niej mych narzędzi. Przerabiam ją, przekształcam, naginam do mego upodobania. Z ludzi czynię tylko stronników i służalców; co do kobiet...

— Czynisz z nich kochanki — rzecze Kalenus z martwym uśmiechem, większą jeszcze do tych szpetnych rysów wzniecającym odrazę.

— Tak jest, nie taję się z tem; kobiety są pierwszym celem, wielką żądzą mej duszy. Jak wy tuczycie ofiary, które macie poświęcać, tak ja lubię wznosić istoty, które przeznaczam do mych rozkoszy. Lubię kształcić, czynić dojrzałemi ich dusze, rozwijać słodki kwiat ukrytych namiętności, aby przysposobić owoc do mego smaku. Dla mnie prawdziwy urok miłości mieści się w powolnem i niewyraźnem przejściu od niewinności do żądzy; tym sposobem wyzywam do walki sytość, a rozważając świeżość wra-

żeń u innych, zachowuję świeżość mych własnych. Z serca to mych ofiar czerpię żywioły napoju, którego mocą odmładzam się. Lecz dosyć na tem; zbliżmy się do przedmiotu, który nas zajmuje. Wiesz o tem, żem w Neapolis zabrał znajomość z Joną i jej bratem Apaecidesem, dziećmi Ateńczyka, zamieszkałego w tem mieście. Po śmierci ich rodziców, którzy mnie znali i poważali, zostałem ich opiekunem. Tego powołania nie zaniedbałem. Młody człowiek, łagodny i powolny, uległ snadnie natchnieniom, jakie w nim usiłowałem obudzić. Po kobietach nic tak nie lubię jak pamiątki kraju mych przodków. Lubię w odległej krainie zachowywać, rozszerzać posępne i tajemnicze dogmata ojczystego wyznania. Nie wiem, czy z rozkoszą rozmnażania służby moich bogów nie łączy się żądza oszukiwania ludzi. Nauczyłem więc Apaecidesa uroczystej religii Izydy; odsłoniłem przed nim kilka szczytnych alegoryi zawartych w jej wierze; obudziłem w jego duszy, dziwnie usposobionej do zapału religijnego, ten entuzyazm, jaki rodzi wiara i wyobraźnia. Umieściłem go między wami; dziś on jest waszym.

— To prawda—rzecze Kalenus—lecz podżegając jego wiarę, pozbawiłeś go mądrości; przejęty jest zgrozą na myśl iż już być ułudzonym nie może. Nasze pobożne podstępy, nasze mówiące posągi i ukrywani niewolnicy przerażają go i oburzają; jęczy i pożera się, mówi bezustannie do siebie, nie chce brać udziału w naszych ceremoniach. Wiadomo, iż widu-

je się z ludźmi podejrzanymi o należenie do tej nowej i bezbożnej sekty, która zaprzecza istności naszym bogom, a wyrocznie nasze poczytuje za natchnienia owego złego ducha, o którym mówią podania Wschodu. Nasze wyrocznie, o! my sami wiemy najlepiej, czyjem są one natchnieniem

— Tego się najwięcej obawiałem — rzecze Arbaces z miną zamyśloną; — poznałem usposobienie jego duszy z kilku wyrzutów, jakie mi ostatnim razem uczynił. Unika mię, lecz muszę go widzieć, muszę mu dalej udzielać nauki i wprowadzić go do świątyni mądrości; muszę go objaśnić, iż są dwa stopnie świętości, jeden dla gminu, drugi dla mędrca.

— Nigdym nie przechodził przez pierwszy — rzecze Kalenus; ani ty także, jak mi się zdaje, Arbacesie.

— Mylisz się—odpowie poważnie Egipcyanin— ja dziś jeszcze wierzę, nie w rzeczywistość tego, czego nauczam, lecz w to, czego nie nauczam. Jest w przyrodzeniu coś świętego, czemu ani chcę ani mogę się oprzeć. Wierzę w własną mą umiejętność, która mi odkryła... Lecz mniejsza o to. W tej chwili zająć się mamy przedmiotem więcej ziemskim i bardziej zwodniczym. Powiedziałem już, żem dopiął celu z Apaecidesem; lecz jakie są zamiary moje względem Jony? Wiesz o tem, żem postanowił, aby była moją królową, moją małżonką, Izydą mego serca. Nim ją poznałem, nigdym się nie domyślał, do jakiego stopnia miłości zdolną była moja dusza.

— Tysiące głosów dochodzi do mych uszu, iż to jest nowa Helena—rzecze Kalenus, czyniąc wargami poruszenie, jakiem smakosz kosztuje dobrego wina, bądź dlatego, iż chciał tym sposobem wyrazić myśl swą o Jonie, bądź że umysł jego zajęty był libacyami, które czynił w tej chwili.

— Tak jest, piękność jej wyrównywa wszystkiemu, cokolwiek kiedy Grecya wydała najdoskonalszego; lecz niedość na tem, jej dusza godną jest połączyć się z moją. Geniusz jej żywy, jaśniejący, śmiały, wyższym jest nad ten, jakim nieba darzą kobiety. Poezya mimowolnie objawia się w jej ustach; jakkolwiek zawikłaną, jakkolwiek głęboką wynurzysz prawdę, jej umysł obejmuje ją i zgłębia w całej rozciągłości. Jej wyobraźnia i rozum nigdy nie są w wojnie, zgodnie z sobą obie te władze rządzą jej duszą, jak wiatry łączą się z falami, aby kierować okrętem. Z tem wszystkiem Jona łączy śmiałą niepodległość myśli; nie potrzebuje żadnej na świecie podpory, a w potrzebie jest równie odważną, jak łagodną. Takiego to charakteru bezskutecznie aż do tej chwili przez cały ciąg życia szukałem w kobiecie. Jona musi być moją; namiętność jaką pałam ku niej jest podwójną; pragnę posiadać piękność duszy a zarazem wdzięki ciała.

— Czy dotąd nie jest jeszcze twoją?—spyta się kapłan.

— Nie; ona mię kocha, lecz tylko jak przyjaciela; kocha mię samym rozumem. Sądzi, iż znalazła

we mnie te cnoty drugiego rzędu, któremi skutkiem wyższej nierównie cnoty pogardzam. Lecz pozwól mi skończyć moją powieść. Brat i siostra byli młodzi i bogaci; Jona jest dumną i wyniosłą: dumną ze swego talentu, ze swej czarującej poezyi, z wdzięków swej rozmowy. Gdy brat opuścił ją, aby wejść do waszej świątyni, ona przybyła do Pompei, chcąc się zbliżyć do niego. Rychło talenta jej stały się głośnemi; ciżba tłoczy się na dawane przez nią uroczystości; głos jej czaruje gości a poezya podbija. Uchodzi ona za drugą Erynnę.

— Albo raczej za Safo.

— Safo bez miłości! Ja to nadałem popęd temu trybowi życia pełnemu śmiałości; dozwoliłem jej poddać się próżności i rozkoszy, z ukontentowaniem nawet widziałem jak się ubiegała za roztargnieniem i owem zamiłowaniem zbytku, panującego w tem mieście zepsutem. Gdyż wiedz, Kalenie, że chciałem wysilić jej duszę; dotąd jednak pozostała zbyt czystą, aby mogła przyjąć tchnienie przeznaczone, przyćmić blask powierzchni tej duszy. Pragnąłem widzieć ją otoczoną wielbicielami próżnymi, płochymi, światowymi, którymi koniecznie pogardzać musi, aby jej dać uczuć potrzebę kochania Wyrachowałem, że w tych słodkich przerwach osamotnienia, następującego po natchnieniu, zdołam osnować urok, obudzić jej interes, zagarnąć jej namiętności, opanować jej serce; gdyż nie sama tylko młodość, piękność, wytworność zdolne są podobać się Jonie; trzeba zawładnąć jej

wyobraźnią, a całe życie Arbacesa było jednym ciągiem tryumfów nad podobnemi charakterami.

— Czyż nie lękasz się współzalotników? Światowi młodzieńcy Włoch są przecież biegli w sztuce podobania się.

— Nie lękam się ich! Jej dusza grecka gardzi barbarzyńskimi Rzymianami, i niezdolną jest pokochać jednego z tych ludzi wczorajszego plemienia na ziemi.

— Lecz ty jesteś Egipcyaninem, nie zaś Grekiem.

— Egipt—odpowie Arbaces—jest ojcem Aten; ich opiekuńcza Minerwa jest naszem bóstwem, a założyciel tego miasta Cekrops był wychodźcem egipskiej Saidy. Uprzedziłem już o tem Jonę, i we krwi mojej czci ona najdawniejszą dynastyę ziemską. Mimo to jednak wyznać muszę, iż od niejakiego czasu pewne podejrzenia wkradły się do mego serca. Jest bardziej milczącą, niż zazwyczaj; szuka upodobania w posępnej i smutnej muzyce, wzdycha bez żadnej na pozór przyczyny. Ten stan duszy jest albo skazówką rodzącej się miłości albo uczuciem potrzeby kochania. Jak w jednym tak w drugim razie czas jest, abym zaczął działać na jej wyobraźnię i serce; pierwsza skieruje ku mnie źródło jej miłości, drugie sprawi jego wylew. W tym to celu przyszedłem do ciebie.

— W czemże ci mogę dopomódz?

— Mam ją wkrótce zaprosić na uroczystość, któ-

rą dać u siebie zamierzam. Pragnę zaćmić, zadziwić, zapalić jej zmysły. Potrzeba użyć naszych sztuk, za których pomocą Egipt sposobił swych nowicyuszów, a pod zasłoną religijnych skrytości chcę jej dać poznać tajemnice miłości.

— Ach! już rozumiem... Będzie to jedna z owych rozkosznych biesiad, w których my, kapłani Izydy, pomimo surowość naszych ślubów, braliśmy już udział u ciebie.

— Nie, nie! Czyż mniemasz, że czysty jej wzrok jest już przysposobiony do scen podobnych? Nie... Lecz trzeba zacząć od ułudzenia brata... Dzieło to będzie łatwiejsze. Słuchaj, co ci mam polecić.

ROZDZIAŁ V.

Znowu kwiaciarka.—Postępy miłości.

Promienie słońca rzeźwo oświecały tę piękną część domu Glauka, którą dziś nazywają, jakeśmy to powiedzieli, pokojem *Ledy*. Światło jutrzenki przenikało rzędem małych okien, znajdujących się w górnych częściach ścian, i drzwiami prowadzącemi do ogrodu, który u mieszkańców miast południowych odpowiadał temu, czem są dziś dla nas oranżerye. Szczupłość przestrzeni tego ogrodu nie pozwalała przechadzać się po nim, lecz mnóstwo napełniających go wonnych roślin dodawało rozkoszy tej tak miłej bezczynności, której się mieszkańcy gorących klimatów oddawać zwykli. Wonie ich, pędzone lekkim wiatrem, powstającym z bliskiego morza, rozlewały się w pokoju, którego ściany żywością kolorów wyró-

wnywały najbogatszej barwie kwiatów. Prócz obrazów Ledy i Tyndara, arcydzieł niepodobnych do naśladowania, na każdej części muru znajdował się inny obraz rzadkiej piękności. Jeden przedstawiał kupidyna wspartego na kolanach Wenery; inny Aryadnę, uśpioną przy brzegu i nie domyślającą się zdrady Tezeusza. Lecz jakkolwiek promienie słońca wesoły blask rzucały na posadzkę i ściany pokoju, promienie szczęścia większą nierównie radość rozlewały po sercu młodego Glauka.

— Ujrzałem więc ją znowu — rzecze do siebie przechadzając się; — słyszałem jej głos, mówiłem do niej, słuch mój napawał się jej słodkim śpiewem, a ten śpiew sławił chwałę Grecyi! Odkryłem przedmiot napełniający od tak dawna wszystkie moje marzenia, i jak cypryjski snycerz, ożywiłem tchnieniem obraz mej wyobraźni.

Ta miłosna z samym sobą rozmowa byłaby się jeszcze przedłużała, gdyby się w tej chwili nie ukazał cień u drzwi pokoju; młoda osoba, zaledwie wychodząca z dzieciństwa, przybyła przerwać samotność Glauka. Miała na sobie białą tunikę, spadającą od szyi do nóg; pod jedną ręką trzymała kosz z kwiatami a w drugiej naczynie ze spiżu. Rysy jej twarzy były więcej wykształcone niżby być powinny w tym wieku, mimo to jednak odznaczały się delikatnością i słodyczą; chociaż ściśle biorąc nie była piękną, wyraz jednak twarzy wyrównywał prawie piękności. Rozlewała się po niej pewna cisza, pewna

niewysłowiona cierpliwość; mina smutnego poddania się losowi i spokojnej uległości, jakkolwiek nie pozbawiała jej wyrazu łagodności, z ust jej jednak wygnała uśmiech; pewna bojaźliwość i wyrachowanie w poruszeniach, czcza niepewność w oczach, wydawały ułomność, której doświadczała od urodzenia: była niewidomą. Jednakże źrenice jej nie miały żadnej wyraźnej wady, lecz czyste ich światło było posępne i słabe.

— Mówiono mi, że Glaukus jest tutaj,—rzeczę; —czy mogę wejść?

— Ach! moja Nidyo,—rzecze Grek, — tyżeś to? Byłem pewny, że nie zapomnisz mojego zaproszenia.

— Oddałeś sobie sprawiedliwość,—odpowie Nidya czerwieniąc się; — Glaukus był zawsze dobry dla biednej niewidzącej.

— A któżby nim nie był? — rzecze Glaukus tonem czułego brata.

Nidya westchnęła, przez czas niejaki zachowała milczenie, i nakoniec rzekła, nie odpowiadając na jego uwagę.

— Jak dawno powróciłeś?

— Dziesiąte słońce oświeca mię dziś w Pompei.

— A zdrowie twoje?... Ach! nie mam potrzeby pytać się o to. Czyż można być chorym widząc tę ziemię, o której mówią, iż jest tak piękną?

— Mam się dobrze... A ty Nidyo? Lecz jakżeś urosła! Na rok następny pomyśleć trzeba, jaką dać twym kochankom odpowiedź!

Nidya zapłoniła się znowu, lecz tym razem zmarszczyła powieki.

— Przyniosłam ci nieco kwiatów, — rzecze, nie odpowiadając na uwagę, która zdawała się obudzać jej drażliwość; potem omackiem znalazła stół umieszczony blisko Glauka i postawiła na nim kosz z kwiatami: — nie mają one wysokiej ceny, lecz są świeżo zerwane.

—Sama Flora nie zdołałaby mi udzielić piękniejszych,— rzecze Glaukus z dobrocią,— i ponawiam obietnicę, iż nigdy nie włożę innej girlandy nad tę, którą splecie twoja ręka z kwiatów podobnych do tych.

— Jakżeś znalazł kwiaty w swem viridaryum? Czy w dobrym są stanie?

— W najlepszym; zapewne sami bożkowie Lares czuwali nad niemi.

— O! jakąż mi sprawiasz radość! gdyż ja to w twej niebytności przychodziłam tyle razy, ile tylko mogłam, opatrywać je i polewać.

— Jakże ci wyrażę moją wdzięczność, piękna Nidyo?—rzecze Grek;—Glaukus nie domyślał się, iż zostawił w Pompei kogoś, co się tak żywo zajmować będzie jego ulubionemi kwiatami.

Ręka młodej dziewczyny zadrżała, a pierś jej wzruszyła się pod tuniką.

— Słońce dziś zbyt pali te biedne kwiaty,—rzecze:—moja nieobecność dała się im uczuć bezwątpienia, gdyż byłam chorą i dziewięć dni nie mogłam przyjść ich polewać.

— Chorą, Nidyo! lecz kolory twej twarzy świeższe są niż w roku przeszłym.

— Jestem często cierpiącą, — rzecze młoda niewidząca tonem rozczulonym, — a im dalej wchodzę w lata, tem więcej żałuję, iż nie mogę widzieć. Lecz muszę pójść do twych kwiatów.

Mówiąc to, skłoniła lekko głową, i wchodząc do viridaryum, zaczęła skrapiać kwiaty.

— Biedna Nidyo! — rzecze Glaukus, patrząc na nią, — przeznaczenie twe jest zbyt okrutne. Nie widzisz ani ziemi, ani słońca, ani Oceanu, ani gwiazd... a na domiar nieszczęścia, nie możesz widzieć Jony!

Ostatnia ta uwaga przywiodła mu na pamięć wieczór wczorajszy, gdy znowu zamyślenie jego przerwało przybycie Klaudyusza. Jeden wieczór zdołał tak dalece podniecić i uszlachetnić miłość Ateńczyka ku Jonie, że lubo skutkiem godnej zastanowienia sprzeczności nie wahał się był powierzyć Klaudyuszowi szczegółów pierwszego widzenia się z nią i doznanego wrażenia, w tej chwili doświadczał niezwyciężonego wstrętu wymówić nawet w jego obecności jej imię. Widział on jak Jona świetna, czysta, bez skazy, rozlewanym około siebie urokiem nietylko zdołała zniewolić do szacunku tłumy otaczającej ją najrozwiązlejszej młodzieży z Pompei, lecz nawet umiała podnieść charakter najwięcej zmysłowych i najmniej zdolnych do uniesienia ludzi; jak owa Cyrce, z tą różnicą, iż jej oczarowania przemieniały zwierzęta w ludzi. Ci co nie byli w stanie pojąć jej du-

szy, unosili się nad jej pięknością; ci, których serce było nieprzystępne dla poezyi, mieli przynajmniej słuch czuły na melodyę jej głosu. Widząc ją uszlachetniającą i oświecającą wszystko cokolwiek się do niej zbliżało, Glaukus uczuł może po raz pierwszy do czego zdolną była jego dusza, i pojął zarazem, jak dalece otaczające go towarzystwo i płoche rozrywki, którym się poświęcał, były niegodne bóstwa jego marzeń. Zasłona zdawała się być nagle zerwaną z jego oczu; poznał jak niezmierzona odległość dzieliła go od towarzyszów jego uciech, odległość, której odurzające upojenie tych uciech dotąd nie pozwoliło mu widzieć. Uczucie potrzebnej odwagi, aby śmieć być godnym Jony, wywyższało go w własnych oczach. Powziął to przekonanie, że odtąd losem jego było wznosić się i bujać w powietrzu, a przed pospolitym i nieszlachetnym słuchem wahał się nawet wymówić imię, które dla jego górnej wyobraźni miało coś świętego i boskiego. Nie była to już ta młoda i piękna dziewica, o której namiętne wspomnienie zachował, była to pani, bóstwo jego duszy. Tego wrażenia, któż nie doznał na świecie? O ty, co go nie znasz, tyś nigdy nie kochał!

Gdy więc Klaudyusz zaczął rozprawiać w przesadzonych uniesieniach o piękności Jony, Glaukus doznał niesmaku i gniewu, iż podobne usta ważyły się rozwodzić nad jej pochwałami; odpowiedział z oziębłością, a Rzymianin wniósł, iż namiętność jego, za-

miast powiększyć się, została uleczoną. Klaudyusz rad dosyć był temu, albowiem zamierzał ożenić Glauka z bogatszą jeszcze dziedziczką, z Julią, córką zamożnego Dyomeda, spodziewając się mieć sposobność przeniesienia jej złota do własnych kufrów. Rozmowa ich nie miała zwykłej gadatliwości, a jak tylko Klaudyusz pożegnał Glauka, ten ostatni udał się do mieszkania Jony. Przechodząc przez drzwi swego domu ujrzał znowu Nidyę, która już ukończyła była powabne swe zajęcie. Poznała ona natychmiast jego kroki.

— Wychodzisz wcześnie,—rzekła.

— Tak jest; niebo Kampanii gniewa się na próżniaków, którzy je zaniedbują.

— Czemuż go nie mogę widzieć!—rzekła młoda niewidząca, lecz głosem tak cichym, iż Glaukus nie usłyszał jej żalów.

Tessalianka zatrzymała się chwil kilka na progu, poczem kierując kroki zapomocą długiego kija, którego z wielką używała wprawą, udała się do swego mieszkania. Przeszedłszy przez najświetniejsze ulice, weszła do części miasta mało uczęszczanej przez przyzwoite z wyższego rzędu osoby; lecz dzięki swej ułomności, nie była świadkiem otaczającego jej widoku nieprzystojności i poniżenia. Zresztą, o tej godzinie, spokojność panowała na ulicach, a słuch młodej niewolnicy nie został porażony dźwiękami rozwięzłości, zbyt często rozlegającemi się w głębi tych

ponurych mieszkań, wśród których posuwała niepewne swe kroki.

Zastukała do tylnych drzwi pewnego rodzaju szynkowni; drzwi te otwarły się, a głos cierpki zapytał się jej o rachunek z uzbieranych sesterców. Wprzód nim zdołała odpowiedzeć, głos inny, mniej surowy, rzekł;

— Nie troszcz się o jej małe dochody, mój Burbo; jej głosu wkrótce znowu do owej uczty potrzebować będzie nasz bogaty przyjaciel, a wiesz jak on zwykł płacić za języki słowicze.

— O! spodziewam się... pochlebiam sobie, że nie będzie, — zawoła Nidya drżąc; — jeżeli tego chcecie, błagać będę o jałmużnę od wschodu do zachodu słońca, lecz nie posyłajcie mię do tego domu.

— I dlaczego to?—spyta się tenże głos.

— Bo... bo jestem młodą, wychowaną delikatnie, a kobiety, jakie się tam znajdują, nie są przyzwoitemi towarzyszkami dla młodej dziewczyny, która... która...

— Jest niewolnicą w domu Burba,—rzekł dalej głos tonem żartu, łącząc do tych wyrazów śmiech nieokrzesany.

Tessalianka postawiła kwiaty, a zakrywszy twarz ręką zaczęła płakać w cichości.

Tymczasem Glaukus kierował swe kroki do mieszkania pięknej Neapolitanki. Znalazł on Jonę siedzącą wśród swych kobiet zajętych robotą; jej arfa stała przy niej, bo w dniu tym Jona była roztargnio-

ną, może nawet więcej zamyśloną, niż zwykle. Przy świetle dziennem i w prostej rannej szacie widział ją piękniejszą jeszcze, niż przy blasku stu lamp i najkosztowniejszych klejnotów, któremi była ozdobioną wieczorem, a nawet w oczach jego nie szkodziła jej wdziękom pewna bladość rozlana po twarzy, ani to zapłonienie, którem się na widok jego okryła. Jakkolwiek przyzwyczajony do mówienia grzeczności kobietom, pochlebstwo skonało mu na ustach, gdy przemawiał do Jony; czuł on, iż byłoby dla niej poniżeniem wyrażać słowami ten hołd, jaki składał jej w każdem spojrzeniu. Rozmawiali o Grecyi; był to przedmiot, o którym Jona więcej lubiła słuchać, niż mówić, a w którym wymowa Glauka była niewyczerpaną. Opisał jej srebrzyste gaje, okrywające jeszcze brzegi Ilissu, i te świątynie, lubo już ogołocone w połowie z swych bogactw, zawsze jednak piękne nawet w swym upadku. Dosięgnął rzutem oka pełnym zapału i żalu smutnego miasta wolnego Harmodyusza, i wspaniałego Peryklesa. W najposępniejszych kolorach powieści z odblaskiem pamięci jego łączyło się przejrzyste światło. Zwiedzał on był kraj poezyi w poetycznym wieku pierwszej młodości, a wspomnienia rodzinnego kraju jednoczyły się z pamiątkami wiosny życia Jona była baczną i niemą; te dźwięki głosu, te opowiadania czarowały ją więcej niż wszystkie pochlebstwa, których nie szczędzili jej wielbiciele. Czyż było występkiem kochać współziomka? Kochała w nim Ateny, bogów swego pokolenia; kraj jej

marzeń przemawiał przez jego usta. Od tej chwili widywali się codziennie. Przy chłodzie wieczornym szli razem na przechadzkę nad brzeg spokojnego morza; później schodzili się jeszcze w portykach i salonach Jony. Miłość ich powstała mimowolnie, lecz była pełną ognia, i zapełniała dla nich wszystkie źródła życia; serce, głowa, zmysły, wyobraźnia, wszystko zbiegało się, aby ją wywyższyć. Ile razy uprzątniemy przeszkodę rozdzielające dwa jestestwa wzajemnem ku sobie przejęte współczuciem, zbliżą się do siebie natychmiast; tak się stało i z nimi, a w stosunkach swych dziwili się tylko temu, iż tak długi przeciąg czasu żyć mogli w oddaleniu. Zresztą miłość ich była rzeczą nader prostą; oboje młodzi, piękni, dowcipni, równego stanu i obdarzeni jednostajną duszą, w związku ich nawet zawierała się poezya. Oboje dzielili to przekonanie, że samo niebo uśmiechało się ich miłości. Jak istoty ścigane prześladowaniem szukają schronienia u stóp ołtarza, tak ołtarz ich miłości zdawał się im bezpiecznem przeciw troskom życia schronieniem; zdobili go kwiatami, nie domyślając się, jakie pod nim kryły się węże.

Pewnego wieczora, w piątym dniu zejścia się ich w Pompei, Glaukus i Jona, w towarzystwie małej liczby wybranych przyjaciół, wracali z przechadzki po odnodze, a łódź ich lekko przerzynała wody, których zwierciadlaną powierzchnię zaledwie marszczyły wilgotne ich wiosła. Gdy reszta towarzystwa oddawała się ożywionej rozmowie, Glaukus siedział

u nóg Jony, nie śmiąc podnieść oczu na jej oblicze. Jona pierwsza przerwała milczenie:

— Niestety! — rzekła, wzdychając, — jakżeby mój brat był szczęśliwy, gdyby się tu w tej chwili znajdował.

— Twój brat! — rzecze Glaukus, — jeszcze go nie widziałem. Zajęty tylko tobą, nie pomyślałem zapytać się ciebie, czy ten młodzieniec, dla którego opuściłaś mię, wychodząc ze świątyni Minerwy w Neapolis, był twoim bratem.

— Tak jest.

— Czy jest tu?

— Jest w Pompei.

— Znajduje się w Pompei, a nie jest zawsze przy tobie, to niepodobna!

— Ma inne obowiązki,—odpowie smutnie Jona; jest kapłanem Izydy.

— Tak młody, i w tak surowym zakonie! — rzecze szlachetny Grek tonem litości i podziwienia;—cóż go skłonić mogło do podobnego postanowienia?

— Był zawsze pełnym uniesień i zapału w pobożności; a wymowa Egipcyanina, naszego opiekuna i przyjaciela, obudziła w jego duszy gorącą żądzę poświęcenia życia jednemu z najwięcej tajemniczych bóstw naszych. Być może, iż w zapale gorliwości właśnie surowość tego zakonu była dlań najsilniejszym powabem.

— Czy nie żałuje swego wyboru?... Mam nadzieję, iż jest szczęśliwy.

Jona westchnęła głęboko i spuściła na oczy zasłonę.

— Życzyłabym, — rzekła po pewnym przestanku, — aby się mniej był pośpieszył. Być może wreszcie, iż za prędko poddaje się zniechęceniu, jak się często dziać zwykło z tymi, których oczekiwanie zbyt żywo obudzone zostało.

— Nie jest więc szczęśliwy w nowym swym stanie!... A ten Egipcyanin, jestże on sam kapłanem? Jaki nim przewodniczył interes w pomnożeniu świętej trzody sług bogini?

— Nie miał innego celu, jak starania o nasze szczęście. Zdało mu się, iż uczyni mego brata szczęśliwym. Jesteśmy sieroty.

— Tak jak ja,—rzecze Glaukus dźwiękiem głosu pełnym ukrytego znaczenia.

Jona spuściła oczy, mówiąc:

— Arbaces chciał nam zastąpić ojca. Wszakże go znasz; on lubi talenta.

— Arbaces! Znam go w samej rzeczy; ile razy się spotykamy, mówimy z sobą jak najmniej. Bez tych pochwał, których mu udzielasz, nie pragnąłbym bliższej zabrać z nim znajomości. Serce moje pełne jest wrodzonego ku ludziom pociągu; lecz ten tajemniczy Egipcyanin, z ponurem czołem i lodowatym uśmiechem, zdaje się być stworzonym do przyćmienia blasku samego nawet słońca. Mniemaćby można, iż jak kretejski Epimenides, przepędził on lat czterdzie-

ści w jaskini, i odtąd nie może się przyzwyczaić do światła dziennego.

— Tymczasem, jak ów Epimenides, jest on dobry, mądry, ludzki,—odpowie Jona.

— Jakże jest szczęśliwy, iż go tak chwalisz! Dosyć tego, abym go kochał.

— Jego cisza, jego oziębłość,—rzecze dalej Jona, nie odpowiadając wyraźnie na wykrzyk Glauka, — są może owocem dawnych cierpień; jak ów Wulkan, który ztąd widzimy, teraz ponury i spokojny, krył niegdyś w swem łonie ognie dziś już zgasłe na wieki.

Gdy Jona wymawiała te słowa, wzrok ich skierował się razem ku Wezuwiuszowi; otaczające nieba nurzały się w przejrzystych i różanych barwach, lecz nad szarym wierzchołkiem jego, wznoszącym się nad lasy i winnice okrywające połowę góry, wisiał czarny złowieszczy obłok, tworząc jedyny kres ciemny widnokręgu. Nagła i niepojęta smętność opanowała ich oboje, a dziełem owego współczucia zrodzonego miłością i mówiącego do nich, iż w każdem wzruszeniu, w każdem przeczuciu nieszczęścia, jedno dla drugiego byli najpewniejszem schronieniem, oczy ich odwróciły się razem od góry i skierowały się ku sobie z niewysłowioną czułością. Na co tu słowa, aby sobie wyrazić miłość.

ROZDZIAŁ VI.

Ptasznik chwyta w sidła ptaka, który mu się raz wymknął, i stawia zasadzkę na inną ofiarę.

W powieści naszej, jak w dramacie, wypadki tłoczą się i szybko następują po sobie. W epoce, którą opowiadamy, w dniach dojrzewały owoce roku.

Arbaces od niejakiego czasu rzadko kiedy odwiedzał mieszkanie Jony, a gdy trafem udał się do niej, nie znalazł nigdy Glauka, tak iż miłość ich, obudzona tak nagle i niwecząca jego zamiary, dotąd pozostała dlań tajemnicą. Zajęcie, z jakiem zajął się bratem Jony, zniewoliło go zawiesić na chwilę zamysły względem niej samej. Nagła zmiana w umyśle młodzieńca rozdrażniła jego dumę i egoizm; mógł w nim utracić powolnego ucznia, a Izys sługę pełnego zapału. Apaecides przestał już ubiegać się o jego

towarzystwo i porad jego zasięgać; trudno go było widzieć; zwracał się w inną stronę, uciekał nawet niekiedy, gdy spostrzegł zdaleka Egipcyanina. Arbaces miał dumną i wyniosłą duszę, przywykłą władać nad innymi. Drażniła go ta myśl, że człowiek, który już do niego należał, zdołał potargać więzy. Poprzysiągł sobie, że mu nie ujdzie Apaecides.

Przejęty tem postanowieniem przechodził gaj gęsty, będący w środku miasta pomiędzy jego domem i mieszkaniem Jony, do której udawał się w tej chwili, gdy nagle postrzegł młodego kapłana Izydy wspartego o drzewo z oczyma wlepionemi w ziemię.

— Apaecidesie,—rzecze, kładąc poufale rękę na ramieniu młodzieńca.

Kapłan wzdrygnął się, a pierwszem jego poruszeniem była chęć ucieczki.

— Synu, — rzecze Egipcyanin, — cóż cię może zniewolić do unikania mojej obecności?

Apaecides zachował ponure milczenie; oczy jego pozostały wlepione w ziemię, usta trzęsły się, a wzruszenie podnosiło pierś.

— Odpowiedz mi, przyjacielu, — mówił dalej Egipcyanin; — twoja dusza jest uciśnioną; co masz mi objawić?

— Tobie... nic.

— I dlaczegóż tak mało we mnie masz zaufania?

— Bo jesteś moim nieprzyjacielem.

— Zastanówmy się nad tem z uwagą, — rzekł

Arbaces cichym głosem, biorąc kapłana, mimo wyraźny wstręt jego, pod rękę i prowadząc ku jednej z ławek rozrzuconych po gaju. Usiedli, a ponure ich twarze były w harmonii z cieniem i samotnością miejsca.

Apaecides był w pierwszej młodości, a jednak bardziej niż Egipcyanin zdawał się wysilonym trudami życia. Jego delikatne i regularne rysy były wklęsłe i pozbawione świeżości; zapadłe oczy jaśniały chorowitym blaskiem; był zgięty przed czasem, a ręce, małe jak u kobiety, ukazywały niebieskie, wydatne żyły, świadczące o znużeniu i osłabieniu ciała. Twarz uderzające miała podobieństwo z Joną, lecz wyraz jej dalekim był od owej wspaniałej i pełnej dowcipu spokojności, stanowiącej boski charakter piękności jego siostry. U niej entuzyazm, zawsze widoczny lecz tłumiony, tworzył ten niewysłowiony urok oblicza; zbliżający się do niej doświadczał żądzy rozniecenia tlejącego lecz niezgasłego ognia. W Apaecidesie, przeciwnie, na pierwszy rzut oka widać było zapał i namiętność temperamentu, a wzrok ognisty, szerokość skroni i drżenie ust przekonywały, że władze jego umysłowe dręczone były przez wyobraźnię. Umysł siostry zamiłował poezyę; brat mniej szczęśliwy obłąkał się czczemi urojeniami, a te same władze, które w jednej stały się źródłem geniuszu, groziły pozbawieniem rozumu drugiego.

— Nazywasz mię nieprzyjacielem,— rzecze Arbaces, — znam ja przyczyny tak niesprawiedliwego

wyrzutu. Umieściłem cię między kapłanami Izydy; ich podejścia i podstępy oburzyły cię. Sądzisz, żem cię oszukał, a obrażona czystość twej duszy przebaczyć mi tego nie może. Lecz com ci przyrzekł, to i otrzymasz, mój uczniu, mój przyjacielu; coś dotąd ucierpiał było tylko próbą twej cnoty, a nowicyat ten rozjaśnił ją nowym blaskiem; nie myśl już o tych nudnych kuglarzach, nie porównywaj siebie z tymi niewolnikami, zaledwie zdolnymi strzedz drzwi bogini; godzien jesteś wejść do świętego przybytku. Odtąd ja sam będę dla ciebie kapłanem, przewodnikiem; a jak teraz przeklinasz moją przyjaźń, tak będziesz ją potem błogosławił.

Młody człowiek podniósł głowę i skierował na Egipcyanina czcze i zadziwione spojrzenie.

— Słuchaj mię, — rzecze dalej Arbaces poważnym i uroczystym głosem, oglądając się naokoło, aby się przekonać czy nie byli podsłuchiwani:—z Egiptu wypłynęła cała umiejętność świata, i filozofia Aten, i głęboka polityka Krety; z Egiptu, nie rychło przed tem, jak hordy Romulusa zdobyły doliny Włoch, i jak w odwiecznem połączeniu wypadków, nanowo cywilizacyę odepchnęły do barbarzyństwa i ciemności, wyszły owe tajemnicze pokolenia, posiadające wszystkie sztuki mądrości i wszystkie powaby życia umysłowego; w Egipcie wzięły początek obrzędy i chwała tej okolicy, której mieszkańcy nauczyli Rzymian, swych zwycięzców, wszystkiego co dziś jeszcze stanowi najszczytniejsze zasady ich religii i wiary.

A czy wiesz, młodzieńcze, jakim sposobem ten Egipt, ten ojciec narodów bez liczby, zdołał osiągnąć tyle wielkości, wywyższyć się nad same szczyty mądrości? Stało się to zapomocą głębokiej i świętej polityki. Narody nowożytne winny swą wielkość Egiptowi; Egipt winien ją swym kapłanom. Skupieni w własnym okręgu, chciwi panowania nad najszlachetniejszą myślą, jaka kiedykolwiek objawiła się rozumowi śmiertelnych, ci dawni słudzy Boga byli natchnieni najszczytniejszą myślą, jaka kiedykolwiek objawiła się rozumowi ludzkiemu. Z obrotów gwiazd z przemian pór roku, z niezmiennego koła przeznaczeń ludzkich, stworzyli wzniosłą alegoryę, a dla zaznajomienia z nią umysłów gminu, przyodziali ją widomemi znakami bogów i bogiń. Izys jest bajką..... niech cię to nie oburza.... lecz przedmiot, którego jest obrazem, jest rzeczywistością, istotą nieśmiertelną. Izys jest niczem; ale wyobraża przyrodzenie, matkę wszechrzeczy, tajemniczą, odwieczną, nieodgadnioną dla wszystkich, wyjąwszy małą liczbę szczęśliwych. „Żaden śmiertelnik nie zdarł mi jeszcze zasłony!“— Tak mówi Izis, którą czcisz; lecz dla mędrców ta zasłona upadła; my widzieliśmy oko w oko uroczyste piękności natury: Kapłani byli więc dobroczyńcami ludzkiego rodu. Nasze wyrocznie i przepowiednie, obrzędy i ceremonie, są środkami dążącemi do jedynego celu: szczęścia i harmonii pomiędzy ludźmi. Widzę, że słuchasz mię z uwagą i uniesieniem; jasność zaczyna cię oświecać.

Apaecides zachowywał milczenie; lecz uczucia, które się malowały na jego pełnej wyrazu fizyonomii, dawały poznać jak wielkie wrażenie czyniły na nim słowa Egipcyanina; słowa których wymowę podwajał akcent, spojrzenie, poruszenia mowcy.

— W tobie, Apaecidesie, mówił dalej Arbaces, znalazłem ucznia godnego mojej nauki, człowieka zdolnego dążyć do wielkich celów jakie jeszcze osiągnąć można; twoja energia, talenta, czystość wiary, szczerość zapału, wszystko czyniło cię zdolnym do wielkiego dzieła, wymagającego tak nieodzownie wielkich i wzniosłych przymiotów. Dlatego to obudziłem w tobie te święte żądze, skłoniłem cię do kroku jakiś uczynił. Lecz wyrzucasz mi, żem cię zawczasu nie uprzedził o nikczemnościach i kuglarstwach twych towarzyszów. Gdybym to uczynił, Apaecidesie, chybiłbym mego celu; twoja szlachetna dusza przejęłaby się oburzeniem a Izys postradałaby kapłana.

Apaecides wydał głośny jęk; lecz Egipcyanin ciągnął dalej zdając się nie zwracać na to uwagi:

— Teraz jestem już przekonany, że dusza twoja godną jest szlachetniejszych zatrudnień, i religia odsłoni przed tobą boskie swe tajemnice. Cieszy mię to, że charakter twój ziścił oczekiwania moje. Wyrzekłeś śluby, nie możesz się cofnąć; idź dalej... ja ci będę służył za przewodnika.

— Cóż mi masz jeszcze objawić? dziwny, przerażający człowieku, zapewne nowe podejścia, nowe..

— Nie .. byłeś w przepaści niedowiarstwa; zaprowadzę cię teraz na wysokości wiary. Widziałeś fałszywe obrazy; poznasz teraz rzeczywistość, którą przedstawiają. Niemasz cienia bez ciała. Przyjdź do mnie tej nocy. Daj mi rękę.

Wzruszony, ożywiony, obłąkany wymową Egipcyanina, Apaecides wyciągnął doń rękę, i nauczyciel z uczniem rozeszli się.

W samej rzeczy dla Apaecidesa nie było już na świecie schronienia; wiązały go śluby bezżeństwa; był poświęcony życiu zawierającemu całą surowość fanatyzmu a nie miał pociechy, jakiej udziela wiara. Prostą więc było rzeczą, iż się przywiązał do niespokojnej żądzy znalezienia szczęścia w zawodzie już niecofnionym. Można i głęboka dusza Egipcyanina wielką jeszcze rozciągała władzę nad jego młodą wyobraźnią; umiała ona obudzać w nim czcze domniemania i utrzymywać go w nieustannych przemianach obawy i nadziei.

Tymczasem Arbaces szedł dalej wolnym i poważnym krokiem ku mieszkaniu Jony. Gdy wszedł do tablinum, usłyszał pod portykiem peristilu głos, którego dźwięki, jakkolwiek harmonijne, niemiłe jednak na jego słuchu uczyniły wrażenie. Był to głos młodego i pięknego Glauka, a uczucie zazdrości po raz pierwszy wzruszyło sercem Egipcyanina. Glaukus siedział przy Jonie. Wytrysk wody w wonnym ogrodzie rozpraszał w powietrze srebrzystą pianę i utrzymywał rozkoszną świeżość nawet w najgo-

rętszych dnia godzinach. W pewnem oddaleniu siedziały kobiety, które jej nigdy nie opuszczały, gdyż pomimo wolny tryb życia Jony, zachowywała ona w postępowaniu najsurowszą przyzwoitość; u nóg Glauka leżała lira, na której odegrał dla Jony lezbijską aryę. Scena, gromada osób przedstawiająca się oczom Arbacesa, marmurowe kolumny, naczynia kwiatów, u końca każdej alei biały i nieruchomy posąg, a nadewszystko dwie ożywione istoty, których doskonałość rysów zdolną była obudzić w duszy snycerza natchnienia albo rozpacz, wszystko to nosiło cechę tej idealności czystej poezyi, dziś jeszcze poczytywanej nie bez słuszności za rys odznaczający charakter starożytnych.

Arbaces zatrzymał się na chwilę i przypatrywał się zgromadzonej parze z zasępionem czołem. Rychło jednak zdołał rozjaśnić oblicze i zbliżył się krokiem tak lekkim, tak cichym, że nietylko Jona i jej kochanek, lecz nawet niewolnice nie usłyszały go.

— A jednak, rzecze Glaukus, oceniamy tylko doskonałość opisu miłości poetów naszych wprzód nim zaczniemy kochać. Od chwili jak słońce ukaże się na widnokręgu, gasną gwiazdy, które w nieobecności jego jaśniały. Poeci mają tylko wartość podczas nocy serca; niczem są oni, skoro uczujemy obecność boga w całej jego chwale.

— Obraz ten jest zarazem słodki i świetny, szlachetny Glauku.

Wzdrygnęli się oboje, postrzegając zaraz za siedzeniem Jony zimną i satyryczną twarz Egipcyanina.

— Przychodzisz niespodzianie — rzecze Glaukus, wstając z wymuszonym uśmiechem.

— Zawsze się tak czynić zwykło, gdy jesteśmy pewni dobrego przyjęcia — rzecze Arbaces, siadając i dając znak, aby Glaukus uczynił to samo.

— Cieszy mię to — rzecze Jona, że widzę was nakoniec z sobą; jesteście do siebie podobni i powinniście się kochać.

— Powróć mi piętnaście lat życia, odpowie Egipcyanin, wprzód nim mię porównasz z Glaukiem; miałbym się za szczęśliwego, gdyby mię obdarzył swą przyjaźnią, lecz czemże ją zdołam obudzić? Czy potrafię mówić o tem co go wyłącznie zajmuje? Mogęż się rozwodzić nad biesiadami i girlandami, nad końmi partskiemi i wypadkami rzutów kości? Są to rozkosze właściwe jego wiekowi, jego naturze, jego zawodowi; lecz nie są właściwe dla mnie.

Mówiąc to, chytry Egipcyanin spuścił oczy i westchnął, lecz nieznacznie spojrzał na Jonę, aby się przekonać jak przyjęła te szczegóły o zamiłowaniach nowej swej znajomości; nie zadowoliła go jej postawa. Glaukus zlekka zapłoniony pośpieszył odpowiedzieć z wesołością, a może nawet z tajemną żądzą zmieszania i upokorzenia nawzajem Egipcyanina.

— Masz słuszność, mądry Arbacesie, możemy

się wzajemnie szacować, lecz nie możemy nigdy być przyjaciółmi. Biesiadom moim zdywa na owych skrytych przysmakach, które, jak niesie wieść publiczna, tyle dają uroku twoim. A przez Herkula! jeżeli dojdę lat twoich, jeżeli jak ty będę się uganiał za rozkoszami wieku dojrzałego, wówczas bezwątpienia, jak ty także, natrząsać się będę z uciech młodości.

Egipcyanin rzucił na Glauka nagle przenikające spojrzenie.

— Nie rozumiem cię — rzecze zimno; lecz wiem o tem, że często ludzie cenią dowcip w stosunku jego ciemności.

Kończąc te słowa, odwrócił głowę od Glauka z uśmiechem zaledwie dostrzeżonej pogardy, i po krótkiej przerwie rzekł do Jony.

— Piękna Jono, dwa lub trzy razy nie miałem szczęścia znaleźć cię u siebie.

— Piękność morza często wywabiała mię z domu—odpowie Jona z pewnem pomieszaniem.

To pomieszanie nie uszło Arbacesa, lecz nie zdając się zwracać na nie uwagi — rzekł dalej śmiejąc się:

— Wiesz o tem, że wasz Eurypides powiedział: Kobiety powinny być u siebie i zatrudniać się rozmową w domu!

— Poeta ten był cynikiem — rzecze Glaukus, i nienawidził kobiet.

— Mówił stosownie do zwyczajów swojego

kraju, a tym krajem była wasza Grecya tak sławiona.

— Inne czasy, inne obyczaje. Gdyby przodkowie nasi znali Jonę, odmienneby pewnie postanowili prawo.

— Czyś się w Rzymie nauczył tych grzecznych wyrażeń? — rzecze Arbaces ze wzruszeniem, które z trudnością mógł pokryć.

— Nie miałbym potrzeby udawać się po to do Egiptu — odpowie Glaukus, przerzucając niedbale swój łańcuch.

Jona pośpieszyła przerwać rozmowę, oddalającą z żalem jej to ścisłe połączenie, jakie chciałaby widzieć pomiędzy Glaukiem a jej przyjacielem.

— Zaniechajcie tego — rzekła; niech Arbaces mniej będzie surowym dla swej biednej wychowanicy. Sierota i pozbawiona opieki matki, może źle czynię, wiodąc to niepodległe i męskie niejako życie; jednakże do takiego właśnie trybu życia przywykłe są rzymskie kobiety, a greckie dobrzeby uczyniły, gdyby go dla siebie przyjęły. Czyż tylko mężczyznom godzi się łączyć niepodległość w życiu domowem z cnotą? Dlaczegóż będąca udziałem naszym niewola ma być jedynym środkiem, który nas zabezpiecza? O! wierzajcie mi, wiele pobłądzili mężczyzni, pobłądzili szkodliwie dla swego przeznaczenia, sądząc, iż charakter kobiet jest nie mówię już niższym, gdyż to może być prawdą, lecz tak dalece odmiennym, iż się mniemali zmuszonymi ustanowić prawa, czyniące le

dwie niepodobnem rozwijanie się władz umysłowych kobiety.

Jona zatrzymała się nagle a twarz jej okryła się najżywszą czerwonością. Obawiała się czy się nie zadaleko w swym zapale uniosła; mniej jednak była niespokojną o Arbacesa, niż o miłego Glauka; kochała go bowiem, ale nie było zwyczaju u Greków dozwalać kobietem, przynajmniej tym, które były godne szacunku, takiej wolności, jakiej one używały u Rzymian. Uczuł więc najżywszą radość, gdy Glaukus odpowiedział:

— O, gdybyś zawsze podobnie myśleć mogła, Jono; o, gdybyś nie znała innego przewodnika jak czyste twe serce! Szczęściem byłoby w samej rzeczy dla Grecyi, gdyby jej kobietom godnym szacunku wolno było nabywać tego uroku wyższego ukształcenia, jakim się tak dalece wsławiły mniej szacowne tej płci osoby.

Arbaces milczał, gdyż nie chciał ani potwierdzać zdania Glauka ani naganiać Jony. Nakoniec po krótkiej nieożywionej rozmowie Glauk pożegnał Jonę i odszedł.

Gdy się już oddalił, Arbaces, zbliżywszy się do pięknej Neapolitanki, rzekł tym słodkim i czułym dźwiękiem głosu, którym tak dobrze pokrywać umiał chytrość i srogość swego charakteru.

— Nie sądź, luba wychowanico, jeżeli mi wolno nazywać cię tem imieniem, abym chciał krępować tę wolność, którą zdobisz rozsądnem użyciem, lecz cho-

ciaż ona nie przewyższa tej, jaką posiadają rzymskie kobiety, osoba jednak niezamężna z wielką przezornością używać jej winna. Możesz i nadal otaczać się tłumem ludzi światowych, świetnych, mądrych nawet; możesz im sprawiać urok rozmową Aspazyi, akordami Erynny; lecz zważaj na to, aby złośliwość nie zdołała zaszkodzić sławie młodej dziewczyny; a obudzając podziwienie, unikaj, zaklinam cię, dania słusznych pozorów zawiści.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Arbacesie?— rzecze Jona drżącym i strwożonym głosem; wiem, że jesteś mym przyjacielem, że pragniesz mojej chwały, mojego szczęścia. Co przez to rozumiesz?

— Twoim przyjacielem! o! tak, przyjacielem bardzo szczerym! czy pozwalasz mi więc mówić po przyjacielsku, bez ogródek i bez obrażenia ciebie?

— Proszę cię o to.

— Jak zabrałaś znajomość z tym młodym rozpustnikiem, z tym Glaukiem? czy często go widujesz?

Mówiąc to, Arbaces wlepione miał oczy w Jonę, ze spojrzeniem zdającem się chcieć przeniknąć aż do głębi jej duszy.

Cofając się przed tem spojrzeniem, przejęta dziwną trwogą, której nie umiała pojąć, młoda Greczynka odpowiedziała z pomieszaniem.

— Przedstawiony mi został jak mój i mojego ojca współziomek. Znam go tylko od dni ośmiu; lecz do czego zmierzają te pytania?

— Przebacz mi — rzecze Arcabes: mniemałem, że znajomość ta była dawniejszą. Nikczemny potwarca!

— Jakto! co mówisz! Dlaczego używasz tego wyrażenia?

— Mniejsza oto; nie chcę obudzać oburzenia twego przeciw człowiekowi, który niegodzien podobnego zaszczytu.

— Zaklinam cię, abyś mówił. Co mógł powiedzieć Glaukus, albo raczej o jaki go oskarżasz występek?

Tłumiąc gniew obudzony temi słowami, Arbaces mówił dalej:

— Znasz jego zatrudnienia, wiesz jacy są jego przyjaciele, jakie obyczaje. Biesiady i kości, oto są jedyne jego dzieła; a trawiąc życie w gronie najrozpustniejszych ludzi, jakżeby zdołał ocenić cnotę?

— Mówisz zawsze w zagadkach; w imię bogów, powiedz wszystko co wiesz.

— Dobrze więc! ponieważ tego pragniesz, dowiedz się. moja Jono, że wczoraj jeszcze Glaukus w publicznych kąpielach chełpił się głośno z twojej ku niemu miłości, dodając, iż miał przyjemność z tego korzystać. Powiem aby być sprawiedliwym, że zarazem chwalił twą piękność; któżby jej mógł zaprzeczyć? Lecz rozśmiał się wzgardliwie, gdy Klaudyusz i Lepidus spytali się go, czy tyle cię kochał, aby się mógł z tobą ożenić, i kiedy czas będzie zawieszać girlandy kwiatów na drzwiach jego domu.

— To niepodobna! któż ci objawił tę bezecną potwarz?

— Chciałażbyś, abym powtarzał wszystkie upięknienia z jakiemi powieść ta rozeszła się po mieście? Wierzaj mi, że w pierwszej chwili sam temu wierzyć nie chciałem, lecz z żalem przekonałem się o prawdzie tego co mówię, z ust osób które to same słyszały.

Jona upadła na krzesło, a twarz jej stała się bielszą od kolumny, o którą była opartą.

— Oburzyło mię to, żem słyszał imię twoje podawane z ust do ust jakby jakiej tancerki. Pośpieszyłem zaraz do ciebie, aby cię o tem uprzedzić. Znalazłszy Glauka, postradałem przytomność umysłu. Nie mogłem ukryć mych uczuć, i boję się czylim nie był zanadto niegrzecznym. Czy przebaczasz, Jono, przyjacielowi tę żywość, jaką przy tobie okazał?

Jona zamiast odpowiedzi podała mu rękę.

— Nie myśl już o tem—rzecze, lecz niech to będzie nauką, jak wiele w twem położeniu potrzeba ci roztropności. Zajście to nie zaszkodzi ci pewnie, Jono, gdyż człowiek tak roztrzepany jak Glaukus nie mógł nigdy być zaszczycony szczerem uczuciem z twej strony. Podobna obelga obraża tylko wtenczas, gdy pochodzi od ukochanej osoby; ten, którego Jona raczy kochać, będzie musiał mieć duszę wyższych przymiotów.

— Kochać — szepnęła Jona z wymuszonym uśmiechem, tak, bezwątpienia.

Egipcyanin dał dowód wielkiej zręczności, uderzając w słabą stronę Jony, kierując ku jej dumie zatruty pocisk. Mniemał, iż już położył tamę rodzącej się zaledwie, jak mu się zdało, skłonności, bacząc na krótki czas jej znajomości z Glaukiem. Pośpieszył zmienić przedmiot rozmowy, i mówił z nią o bracie. Rychło potem pożegnał piękną Greczynkę z mocnem postanowieniem mniej odtąd ufania nieobecności, i czuwania nad nią codziennie.

Zaledwie obraz jego zniknął z oczu Jony, aż duma kobieca, to udanie jej płci, opuściła swą ofiarę, i młoda dziewczyna zalała się łez potokiem.

ROZDZIAŁ VII.

Wesołe życie próżniaka w Pompei. — Obraz w miniaturze kąpieli rzymskich.

Wyszedłszy od Jony, Glaukus czuł się jakby na skrzydłach. W tem widzeniu się z nią po raz pierwszy postrzegł wyraźnie, że miłość jego nie była jej nieprzyjemną i że być może, iż otrzyma wzajemność. Nadzieja ta takiem go przejmowała uniesieniem, że niebo i ziemia zdawały mu się za szczupłe, aby jego szczęście pomieścić. Nie wiedząc jakiego zrobił i zostawił za sobą nieprzyjaciela, zapomniał nietylko o otrzymanych obelgach lecz nawet o jego istnieniu. Idąc przez ulicę, Glaukus nucił pieśń, której Jona zdawała się słuchać z takiem upodobaniem; wszedł na ulicę Fortuny, mającą szeroki chodnik, i domy malowane zewnątrz, wewnątrz zaś przez drzwi

otwarte ukazujące malowidła al fresco. Na każdym końcu ulicy wznosił się łuk tryumfalny, a gdy Glaukus zbliżył się do świątyni Fortuny, wystający portyk tej pięknej budowli, o której mówią, iż została wzniesioną przez jednego z członków familii Cycerona, lub może przez samego sławnego mówcę, udzielał w oczach jego coś szlachetnego i nakazującego scenie zkądinąd więcej świetnej niż wzniosłej. Świątynia ta wspierała się na dosyć rozległem *podium*, a ołtarz bogini był umieszczony między dwoma wschodami, wiodącemi na taras. Z tarasu tego trzecie wschody dosyć szerokie wiodły do portyku, którego kolumny ozdobione były najpiękniejszemi kwiatami, splecionemi w girlandy. U dwóch końców świątyni stały posągi greckich snycerzy, a w małej odległości wznosił się łuk tryumfalny, na którym był posąg konny Kaliguli, ozdobiony trofeami ze spiżu. Wolną przestrzeń przed świątynią zapełniała ożywiona ciżba; z tej jedni, siedząc na ławkach, rozprawiali o dziełach państwa; inni o widowiskach oczekiwanych w amfiteatrze. Gromada młodych Greków rozwodziła się nad nową pięknością, a inna rozbierała zalety ostatniej sztuki teatralnej; trzeci zbiór ludzi, złożony ze starszych wiekiem osób, mówił o mniej więcej pomyślnych wypadkach handlu aleksandryjskiego; między nimi było kilku negocyantów, których ubiór wschodni, długie wlokące się szaty dziwnego kroju, malowane i ozdobione kamieniami pantofle, twarze powa-

żne i ułożone, tworzyły uderzającą sprzeczność z tunikami, ściśle do bioder przystającemi i ożywionemi poruszeniami Włochów. Ten lud żywy i niecierpliwy wówczas jeszcze posiadał mowę oddzielną od wyrazów, mowę znaków i poruszeń dziwnie szybkich i znaczących. Ich potomkowie zachowali ją, a uczony Jorio napisał zabawne dzieło o tym rodzaju hieroglificznej gestykulacyi.

Glaukus, przechodząc przez tłumy ludzi, znalazł się rychło wśród gromady wesołych i ożywionych przyjaciół.

— Ach—rzecze Sallustyusz, lustrum już upłynęło odtąd, jakem cię widział.

— Jakżeś przepędził to lustrum? Czyś wynalazł nowe potrawy?

— Poświęcałem się naukom—odpowie Sallustyusz; robiłem doświadczenia nad sposobem karmienia lampredów. Wyznaję jednak, żem już stracił nadzieję przyprowadzenia ich do tego stopnia doskonałości, jakiego dosięgli nasi przodkowie.

— Nieszczęsny! Lecz dlaczego rozpaczasz?

— Ponieważ już niewolno—odpowie Sallustyusz, wzdychając—dawać im do pożarcia niewolników. Nieraz doświadczałem pokusy, ażeby pogwałcić prawo i wrzucić do sadzawki mojego grubego *carptora*; jestem pewny, że ryba nabrałaby od niego najwyborniejszego smaku. Lecz dzisiejsi niewolnicy nie są prawdziwymi niewolnikami i nie biorą do serca interesu swych

panów; inaczej bowiem Druzus zabiłby się sam, aby mi uczynić przyjemność.

— Jakie nowiny z Rzymu? — spytał Lepidus, przybliżając się niedbale do gromady przyjaciół.

— Cesarz dawał wspaniałą wieczerzę dla senatorów—odpowie Sallustyusz.

— Dobry to władca—rzecze Lepidus; powiadają, że nikt nie wychodzi od niego bez otrzymania przychylnej na prośbę odpowiedzi.

— Niech żyje Tytus! — zawołał z miną protekcyi, jak tylko usłyszał mowę o Cesarzu zbliżający się w tej chwili Pansa; a wyrzekłszy te słowa, oddalił się, mając za sobą orszak klientów, różniących się od ubioru innych osób togami; gdyż w epoce tej, toga, niegdyś ubiór obywatela, była tylko oznaką hołdowania możnemu.

— Biedny Pansa! — rzecze Lepidus, nigdy nie ma czasu bawić się. Dzięki niebu, że nie jestem Edylem.

— Ach! Glauku! *carum caput*! jak się miewasz? Widzę, żeś zawsze jednostajnie świetny—rzecze Klaudyusz, zbliżając się.

— Czyś przybył złożyć ofiarę Fortunie? spytał Sallustynsz.

— Czynię jej co noc ofiary—odpowie gracz.

— Nie wątpię o tem, nikt pewnie więcej nie uczynił ofiar nad ciebie.

— Przez Herkula! co za uszczypliwe wyrażenie! zawołał Glaukus, śmiejąc się.

— Masz zawsze psie słowo w ustach, Sallustyuszu — rzecze Klaudyusz z niechęcią; zawsze pokazujesz zęby.

— Łatwo mieć mogę psie słowo w ustach, ponieważ ile razy gram z tobą, dostają mi się psy w rękę. *)

— Cicho! — rzecze Glaukus, biorąc różę od stojącej blisko kwiaciarski.

— Róża jest godłem milczenia — odpowie Sallustyusz, lecz lubię je tylko podczas wieczerzy.

— Ale, ale, Dyomed w tym tygodniu daje wielką ucztę—rzecze Sallustyusz; czyś został na nią zaproszony, Glauku?

— Tak jest, otrzymałem zaproszenie dziś rano.

— I ja także — rzecze Sallustyusz, wyjmując z za pasa kartkę papyru; prosi on, aby o godzinę przyśpieszyć zwykły czas przyjścia, ponieważ uroczystość ma być nadzwyczajną. **)

— Dyomed jest bogaty, jak Krezus — rzecze Klaudyusz, a biesiady jego są długie, jak bohaterskie poema.

---

*) W dawnej grze w kości najsłabsze punkta nazywały się psami.

**) U Rzymian zachowywał się tenże zwyczaj co u nas posyłania biletów zapraszających, na których oznaczano godzinę przyjścia. W wielkich ceremoniach czas przybycia bywał przyśpieszanym.

— Idźmy do kąpieli, — rzecze Glaukus; jest to właśnie godzina, w której się wszyscy tam udają, a uwielbiany wasz Fulwiusz odczyta nam ostatnią swą odę.

Chociaż kąpiele publiczne założone zostały raczej dla ubogich, niż dla bogatych, którzy je mieli w domach własnych, były one jednak dla udających się tam osób wszystkich klas miejscem rozmowy, w którem ten lud wesoły i trosk odbiegający mógł się poddawać swym nałogom próżnowania. Kąpiele Pompei różniły się bezwątpienia, tak co do rozkładu jako też co do budowy, od łaźni rzymskich, tak rozległych, tak rozgałęzionych, i zdaje się w samej rzeczy, że w każdem mieście cesarstwa były lekkie odmiany w ogólnym planie architektury zabudowań tego przeznaczenia; zmienność ta zawsze znakomicie utrudniała badania uczonych, jak gdyby modzie i architektom niewolno było doświadczać dziwacznych przemian smaku przed dziewiętnastym wiekiem. Nasi młodzi ludzie weszli przez główne wejście, otwierające się na ulicę Fortuny. W skrzydle portyku siedział właściciel kąpieli, mając przed sobą dwa pnie, z których jeden służył do składania odbieranych pieniędzy, na drugim zaś były bilety wejścia. Około murów portyku stały ławki napełnione osobami z klas różnych, gdy tymczasem inni, idąc za przepisem lekarza, przechadzali się po portyku śpiesznemi krokami, zatrzymując się co chwila dla odczytywania malowanych lub pisanych na murze niezliczonych

afiszów o spektaklach, igrzyskach, sprzedażach lub wystawach. Głównym jednak przedmiotem rozmowy było zapowiedziane widowisko w amfiteatrze, a każdy z nowoprzybyłych był chciwie zapytywany przez gromadę ciekawych, czy Pompeja była tak szczęśliwą, iż w obrębie jej znaleziono jakiego okropnego zbrodniarza, jakiego winnego świętokradztwa lub morderstwa, aby go Edylowie mogli przeznaczyć na pastwę dla lwów; wszystkie inne rozrywki traciły cenę na samą myśl podobieństwa tak szczęśliwego wypadku.

— Co do mnie—rzecze jeden z obecnych, który był złotnikiem, zdaje mi się, iż jeżeli Cesarz jest tak wspaniały, jak o tem mówią, przyśle nam bezwątpienia żyda.

— Dlaczegóżby nie wziąć wyznawcy nowej sekty Nazarejczyków?—rzecze jeden filozof. Nie jestem ja krwi chciwy, lecz ateusz, nie przyznający istności samemu nawet Jowiszowi, nie zasługuje na politowanie.

— Wszystko mi jedno, jak wielu bogów podoba się uznawać człowiekowi—rzecze złotnik, lecz zaprzeczać wszystkich, to zbyt okropne.

— Mnie się jednak zdaje — rzecze Glaukus, że ludzie ci nie są zupełnymi ateuszami. Zapewniano mię, że wierzą w Boga i w nieśmiertelność duszy.

— To fałsz, kochany Glauku — rzecze filozof; często ja z nimi rozmawiałem; zawsze naśmiewa-

li się głośno, gdym wspomniał o Plutonie lub Tartarze.

— O, bogowie! zawoła złotnik przejęty zgrozą Czy wielu jest tych nędzników w Pompei?

— Wiem, że jest ich kilku; lecz na obrzędy swe tak tajemnie się zgromadzają, iż wyśledzić ich niepodobna.

Gdy się Glaukus odwrócił, jeden ze snycerzy, zapalony wielbiciel swej sztuki, przyglądał się mu z uniesieniem.

— Ach! gdybyśmy mogli tego oto umieścić w szrankach, jak piękny wyobrażałby wzór! Jakie członki! jaka głowa! On się urodził na gladyatora. Jest to przedmiot..... przedmiot..... godny prawdziwie naszej sztuki! Dlaczego nie oddają go lwu?

Tymczasem Fulwiusz, poeta rzymski, którego współcześni mianowali nieśmiertelnym, a który bez tej powieści możeby nawet nigdy nie był wspomniany w naszym niebacznym wieku, zbliżył się żywo do Glauka.

— O, mój Ateńczyku — rzekł, mój Glauku, tyś przybył słyszeć moją odę! Jaki zaszczyt dla mnie! Ty, Grek, którego codzienną mową życia jest poezya. Jakżem ci wdzięczny! Jest to rzecz mała na pozór; lecz jeżeli otrzymam twe pochwały, zdołam może zbliżyć się aż do Tytusa. O Glauku! poeta bez patrona jest jak amfora bez napisu; wino może być dobre, lecz nikt go nie chwali! Prócz tego Pythagoras powiedział: — Kadzidło jest dla bogów, pochwała dla

człowieka. Patron jest kapłanem poety; pali on dla niego kadzidła i jedna mu wyznawców.

— Cała Pompeja jest twą patronką, w każdym portyku wznosi się ołtarz czci twej poświęcony.

— W istocie, biedni Pompejanie są dosyć grzeczni; lubią hołd oddawać zasłudze. Lecz są oni mieszkańcami małego tylko miasta. *Spero meliora.* Czy wejdziemy?

— Bezwątpienia; nie słyszeć, gdy można, twej poezyi, jest to tracić czas drogi.

W tej chwili ze dwadzieścia osób wybiegło razem z kąpieli do portyku, a niewolnik umieszczony u drzwi małego kurytarza przepuścił poetę, Glauka i gromadę innych przyjaciół Fulwiusza.

Weszli do sali dosyć obszernej, stanowiącej *apoditerium*, to jest miejsce, w którem się przysposobiano do kąpieli. Sufit sklepiony wznosił się nad gzymsem ozdobionym dziwacznemi malowidłami w bardzo żywych kolorach, i był podzielony na sztuki białe z szlakami karmazynowemi. Na czystej i lśniącej posadzce znajdowała się mozaika, a wzdłuż ścian stały ławki. Sala ta nie miała licznych i obszernych okien, które Witruwiusz opisuje wewspaniałem swem *frigidarium*; Pompejanie, jak wszyscy mieszkańcy południowych Włoch, lubili wyganiać ze swych pomieszkań światło rozognionego ich nieba, a ciemność stanowiła część ich wyobrażenia o prawdziwej rozko-

szy. Dwa tylko okna, opatrzone szybami ze szkła *), przepuszczały przyćmione światło, a przestrzeń otaczającą te okna zdobiła wielka płaskorzeźba, wyobrażająca pokonanie Tytanów.

W tej sali zasiadł Fulwiusz z miną urzędową, a słuchacze, zgromadziwszy się około, wezwali go do odczytania swej poezyi.

Wyjął z za tuniki zwinięty rękopis papyru i, odkaszlnąwszy trzy razy, tak dla rozjaśnienia głosu, jako też dla nakazania milczenia, rozpoczął cudowną odę, z której autor niniejszej powieści z wielkim żalem nie zdołał wynaleźć ani jednego wiersza.

Sądząc po udzielonych hucznie oklaskach, oda była bezwątpienia godną jego sławy, a z grona słuchaczów sam tylko Glaukus nie uznał jej wyższości nad najlepsze ody Horacyusza.

Po ukończeniu czytania ci, co chcieli tylko wziąć zimną kąpiel, zaczęli się rozbierać; a zawiesiwszy odzież na wbitych w ścianę hakach, otrzymali od własnych lub od miejscowych niewolników długie szaty; poczem przeszli do pełnego wdzięku okrągłego zabudowania, które dziś jeszcze widzieć można jakby na

*) Odkrycia, uczynione w Pompei, wykazały błąd, w którym tak długo zostawali antykwaryusze, mniemając, że okna ze szkłem były nieznane u Rzymian. Nie używały ich wprawdzie klasy średnie i niższe.

zawstydzenie nowożytnych mieszkańców Włoch południowych, iż się nigdy nie kąpią.

Ci, co się ubiegali za rozkoszami kąpieli, udali się przez inne drzwi do *tepidarium*, w którem panowało łagodne ciepło. wypływające w części z zawieszonego ogniska, w części zaś z posadzki ogrzewanej ciepłem podprowadzonem z *laconicum*.

Tam kąpiący się, pozbawiszy się wszelkiej odzieży, przebywali czas jakiś, napawając się rozkoszą napełnionej sztucznem ciepłem atmosfery; miejsce to, ze względu na ważny swój stopień w długim procesie mycia się, ozdobione było staranniej i bogaciej niż inne. Sufit był rznięty i malowany wspaniale; wysokie okna, opatrzone szkłem przyćmionem, przepuszczały tylko błędne i niepewne promienie; płaskorzeźby ukazywały rzędy figur śmiałego wypracowania. Ściany pomalowane były świetnym czerwonym kolorem, a posadzka przerabiana sztucznie białą mozaiką. Tam nałogowi bywalcy, ci, których zwyczajem było kąpać się siedem razy na dzień, przebywali w stanie niemego i wysilonego znużenia niekiedy przed, częściej jednak po użyciu kąpieli. Ofiary te próżnego ubiegania się za zdrowiem zwracały na przychodzących mdlejące spojrzenia, a znajomych witały tylko skinieniem głowy, nie śmiejąc narazić się na utrudzenie rozmową.

Z sali tej towarzystwo rozchodziło się według upodobania; jedni udawali się do *sudatorium*, miejsca, odpowiadającego naszym łaźniom parowym, inni szli

do właściwych kąpieli, inni zaś więcej przyzwyczajeni do ćwiczeń ciała, udawali się prosto do *calidarium* albo kąpieli wodnych.

Dla uzupełnienia obrazu i dania czytelnikowi dokładnej wiadomości o pewnem upodobaniu starożytnych Rzymian, będziemy towarzyszyć Lepidusowi, którzy poddawał się regularnie wszystkim obrzędom, wyjąwszy wyszłą od niejakiego czasu z mody zimną kąpiel. Po ogrzaniu się stopniowem w opisanem przez nas *tepidarium*, delikatne kroki eleganta Pompei skierowały się ku *sudatorium*. Tu czytelnik wystawić sobie tylko powinien to, co się dziać zwykło w naszej łaźni parowej, z dodatkiem wyziewów z rozmaitych wonności. Jak tylko kąpiący się przetrwał to działanie, towarzyszący mu zawsze niewolnicy rozpoczęli czynność pozbawienia ciała jego wszelkiej nieczystości, która jednak z trudnością znaleźć się mogła na lśniącej od częstego umywania skórze. Ztamtąd, orzeźwiony nieco, przeszedł do kąpieli wodnej obficie zaprawnej wonnościami, z której wyszedłszy, został skropiony ochładzającym deszczem. Okrywszy się potem lekką szatą, powrócił do *tepidarium*, gdzie zastał Glauka w tem tylko miejscu przebywającego, i tu się zaczęły prawdziwe rozkosze albo raczej niedorzeczności kąpieli. Niewolnicy nacierali kąpiących się przywożonemi ze wszystkich stron świata najrzadszemi pomadami, zamykanemi w naczyniach złotych, alabastrowych lub kryształowych i wysadzanych kosztownemi kamieniami.

Same nazwy tych *smegmatów*, używanych przez najbogatsze osoby, zapełniłyby tom cały. Było to *amoracinum, megalium, nardum omne quod exit in eum* i t. p. Tymczasem przyjemna muzyka rozlegała się w pobliskiej izbie, a ci co używali kąpieli z umiarkowaniem, orzeźwieni i wzmocnieni łagodnem jej działaniem, rozmawiali z całym ogniem odświeżonej młodości.

— Niech nieba odbdarzą tego, co wynalazł kąpiele! — rzecze Glaukus, rozciągając się na spiżowem siedzeniu, okrytem miękiemi poduszkami, które zwiedzający Pompeję dziś jeszcze widzieć mogą w tem samem *tepidarium*; czy to był Herkules czy Bachus, zawsze zasłużył na zaliczenie w poczet bogów.

— Lecz powiedz mi, o Glauku, spytał się jeden stękając i dysząc przy nacieraniu, powiedz mi... O jakież twe ręce, niewolniku! — poco trzesz tak gwałtownie?... powiedz mi... aj!... aj!... Czy kąpiele rzymskie są istotnie tak wspaniałe, jak o tem mówią?

Gdy się Glaukus obrócił, postrzegł Dyomeda, którego jednak zaledwie mógł poznać, tak dalece twarz jego była zaczerwienioną i rozognioną skutkiem gwałtownej transpiracyi i nacierania.

Glaukus, usiłując przytłumić śmiech, odpowiedział:

— Wystaw sobie całą Pompeję zamienioną w kąpiele, a poweźmiesz wyobrażenie łaźni cesarskich w Rzymie; lecz tylko co do ich wielkości.

Wyobraź sobie potem wszystkie rozrywki umysłu i ciała, wylicz wszystkie ćwiczenia gimnastyczne wynalezione przez naszych ojców, wymień wszystkie książki, jakie Włochy i Grecya wydały; wyobraź sobie dosyć miejca na to wszystko; dodaj jeszcze najrozleglejsze kąpiele i budowle najprzestronniejsze; zmieszaj z tem ogrody, teatry, portyki, szkoły; wystaw sobie jednem słowem miasto bogów złożone wyłącznie z pałaców i gmachów publicznych, a będziesz miał słabe wyobrażenie piękności wielkich kąpieli rzymskich.

— Przez Herkula! — rzecze Dyomed, szeroko otwierając oczy, w takich łaźniach zaledwie życie człowieka do jednej wystarczyć może kąpieli.

— To się w samej rzeczy często wydarza w Rzymie—odpowie Glaukus. Są tam ludzie, którzy życie trawią w kąpielach. Wchodzą, jak tylko je otwierają, wychodzą, aż gdy są zamykane. Mniemaćby można, iż nie znają reszty Rzymu i że gardzą wszelkim innym trybem życia.

— Przez Herkula!

— Ci nawet, co się kąpią tylko trzy razy na dzień, znajdują sposób trawienia życia w tem zatrudnieniu. Przechadzają się w miejscu gry w kule lub w portykach, aby się przysposobić do pierwszej kąpieli, po której idą do teatru dla orzeźwienia się. Obiadują w cieniu drzew, myślą o drugiej kąpieli, która się zaczyna zaraz po ukończonem trawieniu; po niej idą do jednego z peristylów lub do biblioteki, dla

słuchania nowych wierszy, odczytywanych przez jakiego poetę, albo dawnego poematu, który ich rychło usypia. Następuje potem wieczerza, którą uważają tylko za część kąpieli, i kąpią się po raz trzeci, ponieważ miejsce to poczytują za najdogodniejsze do rozmowy z przyjaciółmi.

— Przez Herkula! są ich naśladowcy w Pompei.

— To prawda, lecz ci nie mają takich do tego pobudek. Ludzie oddani wspaniałemu i rozkosznemu życiu są szczęśliwi w Rzymie; otacza ich tylko świetność i zbytek; nie zwiedzają nigdy ubogich miejsc miasta; nie wiedzą nawet, że istnieje nędza na świecie. Cała natura uśmiecha się do nich, i raz tylko w życiu sprawia im nieprzyjemność: to jest gdy ich powiedzie kąpać się w Kocycie. Wierzaj mi, ci tylko są prawdziwymi filozofami.

Gdy to mówił Glaukus, Lepidus, zaledwie oddychający, znosił z zamkniętemi oczyma wszystkie tajemnicze działania, z których ani jednego nie dozwolił opuścić swym niewolnikom. Po wonnościach i pomadach, został osypany proszkiem nie przepuszczającym ciepła do członków, a gdy i ten zebrany został dobrze wyszlifowanym pumeksem, zaczął przywdziewać już nie odzież, w której przyszedł do kąpieli, lecz ubiór ceremonialny, zwany *synthise*, którym Rzymianie dowodzili szacunku swego dla wieczerzy, lubo ją właściwiej nazwaćby można obiadem, ponieważ ją zastawiano o trzeciej godzinie po południu. Potem Lepidus otworzył oczy i zdawał się wracać do życia.

W tej chwili Sallustyusz długiem poziewaniem dał znak istnienia.

— Oto już godzina wieczerzy — rzecze Epikurejczyk;—Glauku i Lepidzie, proszę was na wieczerzę do siebie.

— Pamiętajcie, żeście wszyscy trzej zaproszeni do mnie w tym tygodniu—zawoła Dyomed dumny ze swych stosunków z modną młodzieżą.

— Uspokój się, mój Dyomedzie — rzecze Sallustyusz, albowiem, zdaniem mojem, siedlisko pamięci jest w żołądku.

Wyszedłszy potem na świeże powietrze i ztamtąd na ulicę, nasi eleganci zakończyli obrzęd pompejskiej kąpieli.

ROZDZIAŁ VIII.

Arbaces w grze z rozkoszą bierze górę i wygrywa partyę.

Noc powlokła swe cienie nad czynnem jeszcze miastem, gdy Apaecides zmierzał do mieszkania Egipcyanina. Unikał ulic oświeconych i ludniejszych; jego głowa spuszczona na piersi i ręce na krzyż złożone pod suknią, jego posępna postawa i wychudłe członki uderzającą stanowiły sprzeczność z niedbałą i ożywioną miną tych, których napotykał na swej drodze.

Rychło człowiek spokojniejszej postawy od innych, który już dwa razy przeszedł mimo niego, rzucając nań ciekawym lecz niepewnym wzrokiem, zbliżył się i dotknął się ręką jego ramienia.

— Apaecidesie,—rzekł, czyniąc szybki znak ręką. Był to znak krzyża.

— Czego chcesz odemnie, Nazarejczyku?—rzekł kapłan, blednąc.

— Nie mam chęci przerywać twego zamyślenia, —odpowie nieznajomy.—lecz zdaje mi się, że gdyśmy się po raz ostatni widzieli, obecność moja nie była ci tak przykrą.

— Obecność twoja nie jest mi przykrą, Olinecie; lecz jestem smutny, strudzony, i wyznaję, że dziś nie mam siły rozprawiać o przedmiotach, które cię zajmują.

— O, nikczemności serca! — rzekł Olint z gorzkim zapałem; — powiadasz, żeś strudzony i smutny, a unikasz dobrowolnie tych, którzy mogą cię orzeźwić i uleczyć.

— O, ziemio! — zawołał kapłan namiętnie, uderzając się w piersi, — w jakichże krainach oczy moje ujrzą prawdziwy Olimp, rzeczywiście zamieszkany przez bogów!... Trzebaż, abym z tym oto człowiekiem uwierzył, iż żaden z bogów, których przez tyle wieków czcili moi przodkowie, nie ma bytu ani imienia? Mamże wraz z świętokradcami odbiegać ołtarzów, którem poczytywał za święte? albo raczej mamże myślić z Arbacesem?...

Zamilkł i oddalił się szybko z niecierpliwością człowieka, który sam przed sobą pragnie uciec; lecz Olint dogonił go i rzekł:

— Nie dziwi mię to, Apaecidesie, że ci się

przykrzę, że wzruszam wszystkie żywioły twego rozumu, że błądzisz na łonie powątpiewania, że jesteś miotany na rozległym oceanie niepewności i ciemności. Nie dziwi mię to; lecz bądź cierpliwy. Czuwaj i módl się; ciemności się rozproszą, burza się uśmierzy, a Bóg sam, jak niegdyś szedł przez samaryjskie morze, przyjdzie do ciebie przez uśmierzone fale i uwolni twą duszę. Wiara nasza wiele wymaga, lecz nawzajem jest nieskończenie szczodrą w swych darach; przykrzy się nam przez godzinę, a płaci za to nieśmiertelnością.

— Takiemi to właśnie obietnicami, — rzecze z niechęcią Apaecides,—ludzie zawsze byli mamieni. O, jak były wspaniałe obietnice, które mię przywiodły przed ołtarz Izydy!

— Lecz zapytaj się rozumu, — odpowie Nazarejczyk, — czy może być prawdziwą religia, która obraża moralność. Każą wam czcić waszych bogów; a czemże są ci bogowie według własnych słów waszych? Jakie są ich czyny, przymioty bóstwa? Czyż wam ich nie wystawiono jako najokropniejszych zbrodniarzy! A jednak każą wam służyć im jak największym bożyszczom! Sam Jowisz jest ojcobójcą i cudzołożnikiem. Czemże są niżsi bogowie, jeżeli nie naśladowcami jego występków? Zabraniają wam zabijać, a każą czcić zabójców; niewolno wam cudzołożyć, a zasyłacie modły do cudzołożcy. Nie jestże to nieludzkie natrząsanie się z najświętszej części przyrodzenia człowieka, jego wiary? Obróć te-

raz oczy ku Bogu, jedynemu, prawdziwemu Bogu, przed którego ołtarze pragnę cię poprowadzić; jeżeli tego Boga poczytujesz za zbyt szczytną, zbyt wzniosłą istność dla upragnionej sercem człowieka tkliwej jedności między Stwórcą i stworzeniem rozważaj bóstwo jego syna, który się przyodział naszą śmiertelnością. Nie objawił on wprawdzie tej śmiertelności, jak wasi fałszywi bogowie, przez występki ludzkiego przyrodzenia, lecz przez wszystkie cnoty, do jakich człowiek jest zdolny. Jednoczą się w nim najsurowsze obyczaje z uczuciami najtkliwszej czułości. Gdyby był tylko człowiekiem, stałby się godny być Bogiem. Uwielbiacie Sokratesa, który założył sektę, kształcił uczniów, otwierał szkoły; lecz czemże są niepewne cnoty Ateńczyka przy jaśniejącej, niewątpliwej, czynnej, wiecznej, pełnej wylania się świętości Chrystusa? Rozważmy tylko jego ludzki charakter. Był on w nim wzorem dla przyszłych wieków tej czystej cnoty, którą Platon tak żywo pragnął mieć połączoną z ciałem: Oto jest prawdziwa ofiara, którą dla człowieka uczynił; chwała zaś, którą się otoczył w ostatniej godzinie, nietylko oświeciła ziemię, lecz otworzyła dla nas nadzieję nieba.. Jesteś wzruszony, widzę to, Bóg przenika do twego serca; duch jego jest z tobą. Pójdź, nie opieraj się świętemu natchnieniu; pójdź natychmiast, nie wahaj się. Kilku braci naszych zjednoczyło się w tej chwili dla wykładu słowa Bożego. Dozwól, abym cię powiódł do nich. Jesteś

smutny, strudzony. Wysłuchaj słów Boga: „Zbliżcie się do mnie,—mówi On,—wy co cierpicie i jesteście strudzeni, a otrzymacie spoczynek".

— Nie mogę w tej chwili, — rzekł Apaecides; —innym razem.

— Teraz! teraz! — zawołał Olint, ciągnąc go za rękę.

Lecz Apaecides nie był jeszcze przysposobiony do zrzeczenia się tej wiary... tego życia, któremu tyle poświęcił; pomny zawsze na obietnice Egipcyanina, wydarł się silnie z rąk Olinta, a czując, iż gwałt tylko pokonać zdoła obudzoną wymową chrześcianina w duszy jego niepewność, podniósł szatę i zaczął uciekać z szybkością, nie dopuszczającą żadnej pogoni.

Strudzony, zadyszany, zbliżył się nakoniec do odludnej części miasta i znalazł się nagle przed samotnym domem Egipcyanina. Gdy się zatrzymał dla wypoczynku, księżyc wyszedł z za chmury i rozlał w pełni srebrzyste swe światło na to tajemnicze mieszkanie.

Nie było innego domu w bliskości. Gęste winnice osłaniały przód jego, z tyłu zaś wznosiły się wyniosłe drzewa, których uśpione liście oświecały melancholiczne promienie księżyca. Dalej widać było niewyraźne zarysy dalekich gór, a w ich liczbie wierzchołek Wezuwiusza, który w tej epoce nie był tak wysoki, jakim się dziś oczom patrzących ukazuje.

Apaecides przeszedł winne zarośla i zbliżył się do szerokiego i rozległego portyku, po obu stronach którego spoczywały egipskie sfinksy. Światło księżyca udzielało nowej i uroczystej ciszy ich zimnym lecz harmonijnym rysom, w których snycerze tego obrazu mądrości tak dobrze wystawić umieli powolność obok wspaniałości. W połowie wysokości i u końca wschodów rosły aloesy z miękkim i gęstym liściem; na marmur zaś wschodów spadały długie gałęzie palmy wschodniej.

Spokojność, panująca w tem miejscu i dziwna postać sfinksów przejęły niepojętym przestrachem młodego kapłana. Gdy zastukał do drzwi, nad któremi wyryty był napis w nieznanych charakterach, drzwi się cicho otworzyły, a wysoki niewolnik, Egipcyanin, nie czyniąc zapytań ani powitania, dał mu znak, aby poszedł dalej.

Rozległą salę wnijścia oświecały rznięte kandelabry ze spiżu, na ścianach zaś malowane posępnemi kolorami hieroglify dziwną wystawiały sprzeczność z tą świetną barwą i powabnym rysunkiem, zdobiącemi zwykle wnętrza domów mieszkańców Włoch. W końcu sali zbliżył się do niego niewolnik o ciemnej cerze.

— Chcę się widzieć z Arbacesem, — rzekł kapłan drżącym głosem. Niewolnik skinął głową, a powiódłszy go przez wąskie wschody i kilka izb po większej części ozdobionych surowymi i posępnymi sfinksami, wprowadził do pokoju słabo oświecone-

go, w którym Apaecides znalazł się w obecności Egipcyanina.

Arbaces siedział przed małym stołem, na którym leżało kilka rękopismów papyrus, zapełnionych charakterem podobnym do napisu nad drzwiami; w pewnem oddaleniu stał trójnóg, z którego zwolna podnosił się dym kadzidła, a przy nim wielki globus, okryty niebieskiemi znakami. Na drugim stole postrzegł Apaecides wiele dziwnych i ciekawych narzędzi, których nie pojmował użycia. Drugą stronę pokoju okrywała zasłona, a przez podłużne okno w dachu przenikały promienie księżyca, łącząc się posępnie ze światłem jedynej lampy.

— Usiądź, Apaecidesie,— rzekł Egipcyanin, nie podnosząc się z miejsca.

Gdy to uczynił, rzekł dalej po krótkiej przerwie głębokiego zamyślenia:

— Żądasz, abym ci odsłonił największe tajemnice, jakie tylko dusza człowieka pojąć jest zdolna; pragniesz, abym rozwiązał samo zadanie życia. Umieszczeni w szczupłym i ciemnym obrębie istnienia, jak dzieci w ciemności, tworzymy sobie widma; myśli nasze już się tłumią w nas samych z przerażeniem, już się zagłębiają w przestrzeń nieznaną, gdy tymczasem na wszystkie strony wyciągamy słabe ręce, aby uniknąć nieprzewidzianych niebezpieczeństw. W takiem położeniu cała mądrość zależy na rozwiązaniu dwóch zagadnień: W co wierzyć? co odrzucać?

Na te to pytania chcesz zapewne abym ci odpowiedział.

Apaecides skinął głową.

— Przerażony nicością przedmiotów, do których przywiązywałeś wiarę, pływasz na smutnem morzu niepewności, wołasz o ratunek, pragniesz uchwycić się deski, ujrzeć choćby daleki ląd, do któregobyś mógł przybić. Dobrze więc, słuchaj. Czyś nie zapomniał dzisiejszej rozmowy naszej.

— Jakżebym ją mógł zapomnieć?

— Wyznałem ci, że te bóstwa, na których cześć tyle się wznosi ołtarzów, są tylko ludzkiemi wynalazkami; lecz wyznałem zarazem, że nasze obrzędy i ceremonie, jakkolwiek są tylko mamidłem gminu, rodzą jednak związki, towarzystwa, harmonię świata i władzę mądrości. Nie ustawajmy więc w tych zbawiennych podejściach; ponieważ człowiek musi mieć wiarę, zachowajmy dlań tę, jakiej długie nawyknienie nadaje świętość i siłę; a szukając stosowniejszej dla wzniosłego pojęcia naszego, nie naruszajmy podpory świata, jakkolwiek ta jest już dla nas za słabą. To działanie jest prawdziwą mądrością, ludzkością.

— Mów dalej.

— Wygnaj z pamięci — rzekł dalej Arbaces — wszystko, czemuś dotąd wierzył. Przypuść, że dusza twoja jest gładką powierzchnią, gotową do przyjęcia pierwszych zarysów. Rzuć wzrokiem na ten świat; przypatrz się porządkowi, regularności, harmonii, jakie na nim panują, a przekonasz się, że jest

dziełem stworzenia i utwierdzisz się w istności Stwórcy; lecz istności tej nie dosięgniesz zmysłami, nie zgłębisz rozumem. Pozostań więc w głębokiej wierze i przejdź do owej władzy, która, będąc głównym działaczem stworzenia, jest przystępniejszą dla badań naszych. Imię jej jest Natura. Gdyby mędrcy w badaniach swoich ograniczali się na zgłębianiu jej tajemnic, jak wiele dotąd mielibyśmy już wiadomości? Na tej niwie cierpliwość i praca zawsze wydają owoce. Dosięgamy zmysłami jej tajemnic; umysł nasz napotyka dotykalne stopniowanie przyczyn i skutków. Natura jest wielkim duchem jedności zewnętrznej i udzieliła nam sposobów zgłębiania swych tajemnic. Sposobami temi są ciekawość i pamięć; ich połączenie kształci rozum; ich udoskonalenie jest mądrością. Zapomocą więc tych sposobów zgłębiam niewyczerpaną naturę. Przyglądam się ziemi, powietrzu, oceanowi, niebu; dostrzegam między niemi tajemnicze połączenie; wierzę, że wpływ księżyca rządzi wznoszeniem się i opadaniem morza; że powietrze otacza ziemię i jest żywiołem, w którym wszystko porusza się i żyje; że znajomością gwiazd mierzymy granice ziemi i dzielimy czas na epoki; że słabem ich światłem przewodniczymy sobie w otchłani przeszłości, a ich wzniosłą umiejętnością czytamy w przeznaczeniach przyszłości. Oto jest wiara mędrca; rozważmy teraz jej moralność —Wszystko na świecie podległe jest prawom ogólnym: słońce świeci dla

dobra wielu, chociaż sprawia boleść niekiedy; noc usypia stworzenia, lecz czasami pokrywa występek; lasy są ozdobą ziemi, lecz są razem mieszkaniem wężów i lwów. Ocean tysiące łodzi unosi na swej powierzchni, chociaż pochłania niektóre. Natura działa więc dla dobra ogółu, lecz nie dla dobra wszystkich. Oto jest moralność wielkich działaczów świata; oto jest także moja. Pragnę zachować podejścia kapłanów, ponieważ są pożyteczne dla gminu, udzielać ludziom sztuk, które odkrywam, umiejętności, które doskonalę; pragnę przyśpieszyć obszerny zawód cywilizacyi; w tem wszystkiem przysługuję się ludzkości, dopełniam prawa ogólnego, wielkiej moralności, jakiej naucza natura. Lecz z drugiej strony wymagam dla siebie indywidualnego wyłączenia. Przekonany, że indywidualne me czyny nic nie stanowią na wielkiej szali dobrego i złego; że owoce mych wiadomości mogą być nierównie użyteczniejsze dla ogółu, niż żądze moje zaszkodzić niewielkiej liczbie, gdyż pierwsze rozciągnąć się mogą nietylko do krańców najodleglejszych, lecz do przyszłych nawet pokoleń, obdarzam świat mądrością, a wymagam nawzajem pobłażania; oświecam istnienie innych a używam własnego. Tak jest, mądrość nasza jest wieczną, lecz życie krótkie; trzeba więc z niego korzystać. Poświęć twe zmysły rozkoszy a młodość szczęściu. Zbyt rychło nadchodzi chwila, w której czara się kruszy, wieńce przestają kwitnąć. Bądź zawsze, o Apaecidesie, moim uczniem, moim sektarzem. Odkryję przed

tobą mechanizm przyrodzenia, jego najskrytsze tajemnice; umiejętność, zwaną czarnoksięstwem, i wielkie tajemnice gwiazd. Tym sposobem dopełnisz twoich obowiązków względem ludzkości i oświecisz twe plemię. Lecz nauczę cię razem nieznanych dla gminu rozkoszy, a po każdym dniu, spędzonym dla dobra ludzkości, nastąpi noc, którą poświęcisz dla siebie.

Jak tylko Egipcyanin przestał mówić, najsłodsza muzyka, jaką kiedykolwiek stworzyła Lidya, a Jonia wykształciła, rozległa się nagle ze wszech stron. Potok melodyi zalał niespodzianie zmysły, podbijając je zbytkiem rozkoszy; rzekłbyś, że to są śpiewy owych niewidomych duchów, unoszących się nad dolinami Tessalii lub świeżemi gajami w Paphos, które słyszeli pasterze złotego wieku. Skupiające się w umyśle Apaecidesa słowa w odpowiedzi na sofizmaty Egipcyanina, skonały na drżących jego ustach. Mniemałby, iż popełnia świętokradztwo, gdyby się poważył przerwać te czarodziejskie dźwięki; drażliwość jego charakteru, czułość i zapał greckiej jego duszy zostały zwyciężone i podbite zadziwieniem. Upadł na krzesło z nawpół otwartemi ustami, z uchem chciwem słuchania, a chór głosów tak słodkich jak te, które przebudziły Psyche w pałacu Miłości, odśpiewał hymn następujący:

HYMN EROSA.

Kochajcie, synowie ziemi!
Ja jestem miłości Bogiem
Ja świat leżący odłogiem
Zasiałem kwiaty wonnemi.
Mój uśmiech jasność rozlewa
Na modre niebios przestworze,
Dla mnie zdrój mruczy, ptak śpiewa,
Dla mnie ranne wschodzą zorze.

Dla mnie się róża czerwieni,
Moim obrazem jest wiosna,
Wtenczas gdy jej dłoń miłosna
Gaje i łąki zieleni.

Patrzcie—i te gwiazd orszaki
W czystem wiszące przezroczu,
Oświetlając górne szlaki,
Goreją blaskiem mych oczu.

Praw mych słuchają żywioły:
Woda, myjąc stopy brzegu,
Rada go pieści w swym biegu,
Igra z falą wiatr wesoły.

Tak—wszystko, na co spojrzycie,
Oddycha dary mojemi,
Wszystko mi winno swe życie—
Kochajcie, synowie ziemi!

Jak tylko umilkły dźwięki śpiewu, Egipcyanin pochwycił za rękę upojonego Apaecidesa i powiódł prawie mimowolnie ku zasłonie. Nagle zajaśniało za nią tysiące gwiazd, a posępna aż dotąd powierzchnia tej zasłony rozjaśniła się ukrytym ogniem i przybrała łagodny kolor niebieskiego błękitu; wyobrażała ona niebo, to niebo, jakie w miesiącu czerwcu okrywa nocną porą źródła Kastalii. Gdzieniegdzie ukazywały się lekkie różowe obłoki, wśród których malarz umieścił boskie piękności, jakieby zaledwie Fidyasz lub Apelles utworzyć zdołali. Jaśniejące gwiazdy, rozrzucone po tym przejrzystym błękicie, krążyły szybko, gdy tymczasem muzyka, rozpocząwszy się znowu w weselszych i żywszych tonach, zdawała się naśladować wesołą melodyę sfinksa.

— Cóż to za cud, Arbacesie?—rzekł Apaecides wzruszonym głosem. — Czy, zaprzeczywszy bogów, chcesz mi objawić...

— Ich rozkosze—przerwał Arbaces tonem tak odmiennym od zwykłej jemu spokojnej i zimnej harmonii głosu, że Apaecides wzdrygnął się z zadziwienia, mniemając, iż sam Egipcyanin uległ przeobrażeniu. Gdy się bardziej ku zasłonie zbliżyli, świetna

melodya, malująca uniesienia rozkoszy, zdawała się ją rozdzierać, jakoż w samej rzeczy rozstąpiła się na dwoje i znikła w powietrzu. Młody kapłan spostrzegł scenę, jaką zaledwie wyobraźnia sybaryty wystawić sobie jest zdolną. Ukazała się rozległa sala uczty jaśniejąca niezliczonem światłem. Rozmaite kadzidła, jaśminy, fiołki, mirra, aromaty najrzadszych roślin i korzeni zapełniały powietrze balsamiczną wonnością; na lekkich kolumnach, wznoszących się ku sufitom, zawieszone były draperye białe osypane gwiazdami złotemi. U dwóch końców sali wytryskały fontanny, wyrzucając snopy kryształowej wody, która przy różowym blasku światła zdawała się rozdrabniać na nieprzeliczoną ilość dyamentów. W środku sali, z pod posadzki, podniósł się zwolna przy dźwięku niewidomej muzyki stół, zastawiony potrawami, jakie najdelikatniejszy zbytek mógł kiedykolwiek wynaleźć. Otaczały go łoża okryte niebieską, przerabianą złotem materyą, gdy tymczasem ze sklepionego sufitu spadał ukrytemi otworami deszcz wonnej wody, której zapach zdawał się walczyć z wonnościami kadzideł, jak gdyby geniusze wody i ognia poszli w zapasy, który z dwóch żywiołów rozkoszniej zmysł powonienia oczarować potrafi. Potem rozstąpiły się białe draperye i ukazały gromady piękności, podobnych do tej, jaką widział Adonis, gdy spoczywał na łonie Wenery. Trzymając w rękach to liry, to przepaski z róż, otoczyły one młodzieńca i, opasując go niemi, powiodły kroki jego ku zastawionej uczcie. Ziemia.....

wszystkie myśli ziemskie opuściły jego duszę; zdało mu się, iż jest pod władzą ułudzeń snu i wstrzymywał oddech, aby się nie obudzić za wcześnie. Zmysły, którym się dotąd nigdy jeszcze nie poddał, rozogniły krew w żyłach jego i obłąkały wzrok. Zadziwiony, omamiony, usłyszał nakoniec rozlegające się znowu dźwięki czarownej muzyki, w żywszem jeszcze niż przedtem tempie:

Anakreontyk.

Szumi w czarze wytłoczona
Z rumianego słodycz grona,
Szumi—lecz w żyłach młodzieży
Silniej wrzący nektar bieży
I za ćmiące blask powieki
Nurt swój wciskając uroczy
Jak ognistej fala rzeki,
Spływa do serca przez oczy.

Nalej kubek! Świat, więzienie,
Liche śmiertelnych istnienie;
W natłoku cierpień jedyną
Pociechą miłość i wino.
Sączmy z rozkoszy kielicha
Szczęśliwość życia tajemną:

Nie powie światu noc cicha,
Żeś ją, luby, spędził ze mną.

Pij, pij!... niechaj w twojem oku
Wre boskiego płomień soku,
Niech nim twoja myśl rozgrzana
Czci hojnego winnic Pana;
Lecz dla mnie twój uśmiech miły,
Dla mnie zachowaj westchnienie...
Patrz!—drżę, płonę, tracę siły,
Na jedno twoje spojrzenie.

Gdy się śpiew ukończył, grono trzech młodych dziewcząt, otoczone przepaskami z kwiatów świetnej barwy, piękniejsze niż Gracye, których było naśladowaniem, postąpiło ku Apaecidesowi, tworząc joński taniec, ów taniec, w którym przy blasku księżyca ćwiczą się Nereidy na piasku morza Egejskiego, lub którego Cytera nauczyła swe Nimfy na obchód wesela Psychy z jej synem.

Niekiedy zbliżały się ku niemu, wieńcząc głowę jego girlandami; niekiedy przyklękały, a najmłodsza podawała mu czarę, w której szumiało lesbijskie wino. Młodzieniec nie mógł się dłużej oprzeć; pochwycił upajającą czarę, a krew gwałtownie zawrzała mu w żyłach. Upadł na łono Nimfy, przy której siedział; potem, obracając około siebie łzawemi oczy-

ma dla ujrzenia Arbacesa, którego zgubił z oczu w upojeniu swych wzruszeń, postrzegł, jak siedział pod obsłoną i zachęcał go do rozkoszy uśmiechem. Postrzegł go, lecz już nie takim, jakim się zwykle jego oczom przedstawiał, okrytego czarną szatą, z ponurem czołem, z zimnym na twarzy uśmiechem. Wspaniałą jego postawę okrywała suknia, jaśniejąca blaskiem złota i kosztownych kamieni. Białe róże, przeplatane szmaragdami i rubinami, wieńczyły czarne jego włosy. Jak Ulisses zdawał się być obdarzony powtórną młodością. W rysach jego piękność zdawała się zastępować rozwagę, a wśród rozlicznych powabów, które go otaczały, twarz przybrała czułą i jaśniejącą słodycz boga Olimpu.

— Pij, bierz udział w uczcie, kochaj, mój uczniu —rzekł.—Nie wstydź się być namiętnym i młodym. Czem jesteś, czujesz to w twych żyłach; czem będziesz, oto obraz.

Mówiąc to, ukazał palcem niszę, a oczy Arbacesa ujrzały w niej na podstawie, między posągami Bachusa i Idalii... skielet.

— Nie przerażaj się—rzekł dalej Egipcyanin;— ten grzeczny gość przypomina nam bezustannie krótkość istnienia. Zdaje się do nas mówić głosem grobowym: *Korzystajcie z życia!*

W tej chwili nimfy otoczyły posąg; a złożywszy na podstawie girlandy, odśpiewały słowa następujące, podczas gdy czary wypróżniały się i napełniały kolejno:

HYMN BACHICZNY.

na obraz śmierci.

I.

Tyżeś to!... Z kraju cieniów, z czarnej głębi piekła
Jakaż cię chęć uniosła, jaka moc wywlekła?
Maro, co niegdyś z nami błogie pędząc lata,
Znałaś i cenę życia i rozkosze świata,
A dziś błąkasz się smętna ponad Styksu brzegiem,
Jeśli równo z przerwanym dni twoich ubiegiem
Nie zgasła miła pamięć, żeś istniał na ziemi,
Przybywaj!... My to miejsce, które niegdyś twemi
Słynęło pieszczotami, w świeże strojąc wianki,
Widzim cię jeszcze u nóg szczęśliwej kochanki.
Tu wonną z róż przepaską obwiódłszy twe skronie,
Piłeś nektar w ochoczem Nimf Bachusa gronie;
Tu, kiedy gwiazdę dzienną mrok osłaniał szary,
Wabił do snu twe zmysły dźwięcznej głos cytary.

Stojącą u niszy gromadę zastąpiła inna, śpiewając dalej w odmiennym takcie i weselszym tonem:

II.

Na wątłej łódce, na wątłej, niestety!
Płyniemy, pewni bliskiego rozbicia,
Do zakreślonej dla śmiertelnych mety.
Jakże jest drogą każda chwila życia!
Zwolna, zwolna, łódko nasza,
Niech Zefirów lekkie wienie
Zwolna cię do brzegu żenie
I trwogę śmierci rozprasza.

Jeśli ofiary, zginąć przeznaczone,
Musimy poledz u stóp jej ołtarzy,
Pójdziem zamieszkać ciemną duchów stronę
Z pogodą w sercu, z uśmiechem na twarzy.

Lecz płyń zwolna, łódko nasza,
Niech Zefirów lekkie wienie
Zwolna cię do brzegu żenie
I myśl o śmierci rozprasza.

Po pauzie muzyka przybrała jeszcze żywszą miarę.

Rok za rokiem, za godziną
Pośpieszne godziny płyną,
I kwiat życia dziś rozwity
Do jutra może zwiędnieje...
Słodźmy wyrok niespożyty
Lubą kołysząc nadzieję;
Trwogi, którą przyszłość wznieca
W obecnem szczęściu pociecha:
Jeszcze nam słońce przyświeca,
Jeszcze się miłość uśmiecha.

Zbliżyła się wówczas trzecia gromada, a rozlawszy na ten dziwny ołtarz napełnione czary, śpiewała dalej odmienną znowu melodyę, lecz już powolną i uroczystą.

III.

Witaj, gościu zasępiony
Gdy róża ostatnie wonie
Z omdlałych listków wyzionie
Gdy nam w biegu niecofniony
Czas, co wieków spożył tyle,
Ostatnią domierzy chwilę
I śmierć zastudzi w żyłach krwią płynące zdroje,
Ty nam twego mieszkania otworzysz podwoje.

Wśród martwej cieniów gromady,
Z tobą i z niemi pospołem,
Goście podziemnej biesiady
Za jednym siądziemy stołem,
Lecz nim, tracąc życia miano,
Serca nasze bić przestaną,
Póki rozkosze ziemi są jeszcze naszemi,
Wolimy cię mieć gościem, niż być gośćmi twemi.

W tej chwili siedząca przy Apaecidesie dziewica śpiewała dalej hymn:

IV.

Precz od nas śmierci widoku!
Życiem tchną młodości lice—
Jak przy kwietnym gołąb stoku
Wierną pieści gołębicę,
Przytul twoją, o mój drogi!
Przytul mnie do twego łona!
Niech z próżnej ochłonę trwogi
W twoich objęciach uśpiona.

Lecz mię przebudź swem westchnieniem,
Swojego głosu urokiem—
Łącząc z wzajemnem serc drżeniem
Usta z usty, oko z okiem;

Godni wzniecić zawiść Nieba—
Niech nas grom jego nie spłoszy—
Jeżeli umrzeć potrzeba,
Umierajmy... lecz z rozkoszy.

KSIĘGA II.

Lucus tremescit, tota succussa sodo
Nutavit aula, dubia quo pondus daret
Ac fluctuantis similis.
Seneca, *Thyestes* v. 163.

ROZDZIAŁ I.

Stek pospólstwa Pompei i lubownicy dawnego szermierstwa.

Przenosimy się teraz do części Pompei, zamieszkanej nie przez modnych panów, lecz przez lubowników i ofiary gminnych rozkoszy, do miejsca schadzki

gladyatorów, zakładowych zapaśników, wszelkiego rodzaju złoczyńców, nędzników, zwolenników grubej zmysłowości, słowem do Alzacyi starożytnego miasta *)

Jesteśmy w obszernej sali, otwierającej się na wąską lecz ludną ulicę. Przed progiem stoi gromada ludzi, których wydatne i pełne muskuły, krótkie, znamionujące siłę herkulesową szyje, a oblicza zuchwałe i bezwstydne dają poznać szermierzy amfiteatru. Zewnątrz są ustawione naczynia z winem i oliwą, a nad niemi ukazuje się niezgrabnie malowany obraz pijących Gladyatorów; tak dalece użycie szyldów jest szanowne i starożytne! W głębi znajduje się kilka stołów, ustawionych prawie jak w naszych szynkowniach, około których siedzą gromady ludzi bądź pijących, bądź grających w kości, bądź nakoniec zajętych grą umiejętniejszą, zwaną *duodecim scriptae*, którą pewni pedanci poczytali za szachy, a którą właściwiej nazwaćby można naszym pufem, ponieważ grano w nią najczęściej zapomocą kości.

Był poranek a wczesność dnia najlepiej znamionowała nałogi tych bywalców szynkowni. Chociaż dom był położony w takiej części miasta, nie odznaczał się jednak rażącą nieczystością miejsc podobnych w naszych miastach nowożytnych. Wrodzona

---

*) Romans Nigela (Walter-Skota) daje poznać tak nazwaną Alzacyę starego Londynu.

Pompejanom wesołość, usiłująca podobać się jeżeli nie rozumowi to przynajmniej zmysłom, objawiała się i tu nawet w świetnych kolorach ścian, tudzież w pewnej dziwacznej wytworności kształtów lamp, czar i najpospolitszych sprzętów domowych.

— Na Polluksa! — rzęcze jeden z gladyatorów, opierając się o połowę drzwi otwartych—wino, które nam sprzedajesz, stary Sylenie, zdolne jest rozrzedzić najgęstszą krew, jaka się w żyłach naszych znajduje.

To mówiąc, uderzył po ramieniu stojącą przy sobie poważną osobę.

Powitany z taką poufałością człowiek, w którym po obnażonych rękach, białym fartuchu, zawieszonych kluczach i zatkniętej niedbale za pas serwecie łatwo było odgadnąć gospodarza szynkowni, był już w jesieni życia, lecz atletyczną siłą członków mógłby zawstydzić wszystkich swych gości, gdyby już był nie miał zbyt mięsistych muskułów, twarzy zanadto pełnej i brzucha, którego wypukłość zaczynała pokrywać silną i szeroką pierś.

— Strzeż się tych głupich żartów ze mną — rzecze olbrzymi oberżysta ze słodkim rykiem obrażonego tygrysa; wino moje jest jeszcze zanadto dobre dla posiłku cielska, które rychło tarzać się będzie w kurzu *spoliarium.* *)

*) Było to miejsce za szrankami amfiteatru, do którego zanoszono śmiertelnie ranionych.

— Czy takie twe krakania, stary kruku — rzecze gladyator z pogardliwym śmiechem; wierzaj mi, iż będę miał jeszcze przyjemność widzieć jak się powiesisz ze złości, żem wygrał palmowy wieniec; a gdy otrzymam nagrodę w amfiteatrze, co niewątpliwie nastąpi, pierwszy ślub uczynię Herkulesowi, iż ani kropla twego obrzydłego wina nigdy się ust moich nie dotknie.

— Posłuchajcie, proszę, tego skromnego Pyrgopolonicesa!—rzekłbyś, iż się ukształcił pod rozkazami Bombochida Kluninstaridysarchidesa *) zawoła gospodarz. Czy uwierzyłbyś, Sporusie, Nigerze, Tetraidesie, on się chełpi, iż wam porwie nagrodę. Lecz przysięgam na bogów o ile się znam na szermierstwie, iż w każdym muskule waszym jest dosyć siły, aby go samego udusić.

— Ach! — zawoła gladyator, rycząc z gniewu; nasz *lanista* **) mawiał inaczej.

— Cóż on o mnie powiedział, Lidonie — rzecze Tetraides, marszcząc brwi.

— Albo o mnie, com zwyciężył w piętnastu bitwach? — rzecze olbrzymi Niger, zbliżając się do gladyatora.

---

*) Nazwania szermierzy w dawnych komedyach. Patrz *Miles gloriosus*, akt I.

**) Tak nazywano nauczycieli szermierstwa, w którem się ćwiczyli gladyatorowie.

— Albo o mnie? — ryknął Sporus z oczyma zaiskrzonemi.

— Uciszcie się! — rzekł Lidon, składając na krzyż ręce i patrząc z groźną miną na swych współzawodników; rychło nadejdzie chwila zmierzenia sił naszych. Odłóżcie do tego czasu wasze męztwo.

— Radzę ci to — rzecze opryskliwy gospodarz, lecz jeżeli poruszę palcem, aby ci podać ratunek, niech Parka przetnie nić moją.

— Twój stryczek, chcesz zapewne powiedzieć— rzekł Lidon tonem żartobliwym; oto sesterc, abyś go sobie kupił.

Tytan wina pochwycił wyciągnioną ku sobie rękę i ścisnął ją z taką siłą, że aż krew z palców wytrysła na odzież zbliżonych osób.

Rozległy się głośne okrzyki dzikiego śmiechu.

— Nauczę cię, młody zuchwalcze, grać ze mną rolę Macedończyka. Nie jestem ja słabym Persem, możesz mi zawierzyć. Czyliżem nie walczył w cyrku przez lat dwadzieścia bez zniżenia kiedykolwiek prawicy? Czyliżem z rąk Edytora samego nie otrzymał na znak zwycięztwa rózgi, przydającej blasku większego zdobytym laurom? I trzebaż, aby mi teraz dziecko dawało nauki!

To mówiąc, odepchnął z pogardą rękę Lidona.

Bez wzruszenia jednym muskułem, z tym samym uśmiechem na ustach, z jakim wprzód natrząsał się z obrażonego szynkarza, wytrzymał gladyator bolesny uścisk. Lecz skoro tylko ręka puszczoną została,

przyczaił się na chwilę nakształt dzikiego kota, najeżyły mu się włosy i broda, a wydając ostry i zajadły okrzyk, rzucił się na szyję olbrzyma z takim zapędem, że ten, pomimo wzrost swój i siłę, stracił równowagę i potoczył się na ziemię jak obalona skała; srogi nieprzyjaciel padł razem i przycisnął go swojem ciałem.

Zdaje się, że gdyby gospodarz pozostał był przez trzy minuty dłużej w tem położeniu, nie potrzebowałby już stryczka, za który Lidon tak wspaniale obiecywał zapłacić; lecz znajdująca się w tylnej izbie kobieta, przywołana odgłosem upadku, przybyła nagle na pole bitwy. Nowa ta sprzymierzona sama jedna zdolną była opierać się gladyatorowi; była chudą i wysokiego wzrostu, lecz miała ręce gotowe nie tylko do czułych uścisków. Jakoż, słodka towarzyszka Burba, kupca winnego, sama nieraz walczyła w szrankach *) i, co więcej, przed oczyma cesarza. Powiadano nawet, że Burbo, którego nikt nie zwyciężył na polu bitwy, ustępował czasem zwycięztwa miłej swej Stratonice. Ta prześliczna kobieta zaledwie postrzegła niebezpieczeństwo małżonka, gdy natychmiast, bez innej broni nad tą jaką jej dało przyrodzenie, rzuciła się na gladyatora i, porywając go podobnemi do dwóch wężów długiemi ręka-

*) Zdarzało się niekiedy, iż kobieta a nawet damy wyższych klas walczyły w amfiteatrze.

mi w połowie ciała, uniosła w górę, nie mogąc jednak oderwać rąk jego uczepionych do szyi nieprzyjaciela. Tymczasem krwią ukarmieni gladyatorowie, dla których był rozkoszą każdy widok okrutny, tłumnie otoczyli walczących, i przypatrywali się z otwartemi nozdrzami, z okropnym uśmiechem na ustach, topiąc wzrok ognisty w zakrwawioną szyję jednego i w drapieżne szpony drugiego.

— *Habet! habet!* — zawołali z pewnym rykiem, trąc muskularne swe ręce.

— *Non habeo*, kłamcy! — zawoła zadyszany, poszarpany i krwią zbroczony szynkarz, uwalniając się gwałtownem usiłowaniem ze strasznych rąk przeciwnika i podnosząc się na nogi. Zaraz potem zgrzytnął zębami i skierował wzrok niepewny lecz rozogniony na nieprzyjaciela, który z gniewem lubo nie bez pogardy szarpał się w rękach zuchwałej amazonki.

— Niech będzie sprawiedliwość—krzykną gladyatorowie; dwóch nie walczy przeciw jednemu, i otaczając Lidona z jego przeciwniczką, nie dopuścili gospodarzowi zbliżyć się ku grzecznemu gościowi.

Lecz Lidon, zawstydzony swem położeniem i widząc niepodobieństwo wydarcia się z rąk żeńskiego rycerza, sięgnął ręką za pas, i dobył noża, którego połysk zaledwie uderzył wzrok Stratoniki, przywykłej tylko walczyć pięściami, natychmiast cofnęła się z przerażeniem.

— O bogowie! — zawołała, jaki zbrodzień! nosi ukrytą broń! Jestże to postępek godny zacnego męża i gladyatora? Nie, bezwątpienia, i nie chcę już mieć do czynienia z podobnym człowiekiem.

To rzekłszy, odwróciła się z pogardą i pośpieszyła opatrzeć rany męża.

Lecz ten, przywykły do ćwiczeń podobnego rodzaju, już był zupełnie powrócił do siebie. Znikły purpurowe rysy z karmazynowej powierzchni twarzy, a żyły czoła zwykłą przybrały objętość. Wstrząsnął się z pomrukiem zadowolenia, iż się czuł żyjącym; a przebiegając życzliwym wzrokiem od nóg do głowy nieprzyjaciela, rzekł:

— Przez Kastora! silniejszyś, niżelim mniemał; widzę, żeś zacny i mężny; daj mi dłoń, bohaterze.

Gladyatorowe pochwalili głośno wspaniałomyślny wykrzyk Burba i namawiali Lidona, aby go ścisnął za rękę.

— Dobrze—rzecze gladyator, lecz teraz gdym skosztował krwi jego, pałam żądzą wypicia i reszty.

— Przez Herkula!—rzecze gospodarz bez obrazy, to uczucie godne gladyatora. Polluks! jak wspaniała rzecz człowiek dobrze ukształcony! Tygrys nie byłby sroższym.

— Co mówisz o tygrysach? — zawołał Tetraides; my się chlubimy, i słusznie, o ile się spodziewam, wywyższeniem się nad nich.

— To dobrze! to dobrze! — rzecze Stratonika zajęta poprawianiem włosów; jeżeliście się pogodzili, pozostanę spokojną i nie zakłócę sama porządku, gdyż kilku młodych panów, waszych patronów i zakładników, chce się tu z wami zobaczyć. Pragną oni swobodniej was tu obejrzeć, niż mogą to uczynić w szkołach, aby umówić się o zakłady przed wielką bitwą w amfiteatrze. Zwyczajem ich jest zawsze do mnie przychodzić w tym celu, bo wiedzą że tylko najlepszych przyjmujemy gladyatorów... Dzięki bogom, u nas zawsze najlepiej dobrane towarzystwo.

— Tak jest—powie dalej Burbo, wypróżniając czarę, albo właściwiej mówiąc, wiadro wina; człowiek co tyle wygrał wieńców, z mężnymi tylko może mieć do czynienia. Lidonie, pij mój chłopcze; o, gdybyś jak ja dożył szanownej starości!

— Pójdź — rzecze Stratonika, ciągnąc przyjaźnie męża za ucho z przymileniem tak słodko opisanem przez Tybulla; pójdź ze mną.

— Nie tak mocno, wilczyco, gorszą jesteś od gladyatora—rozległ się głos w szerokich szczękach Burba.

— Cicho!—rzecze mu do ucha; Kalenus przebrany wkradł się tu drzwiami tylnemi; spodziewam się, że przyniósł sesterce.

— Czy być może!—rzecze Burbo, idę do niego. Tymczasem zwracaj oko na czary i nie daj się oszukać, kobieto. Są to bohaterowie, nie przeczę temu

lecz niema nad nich większych oszustów. Kakus był niczem w porównaniu z nimi.

— Nie troszcz się o to, głupcze!—odpowie po małżeńsku; a Burbo, zadowolony tem czułem upewnieniem, przeszedł salę i udał się do wnętrza domu.

— Ci zacni patronowie przybyli więc obejrzeć nasze muskuły—rzecze Niger; kto ci o tem powiedział, *domina?*

— Lepidus; przybywa z nim Klaudyusz, najśmielszy zakładnik Pompei, i młody Grek, Glaukus.

— Zakład na zakład—zawołał Tetraides. Stawiam dwadzieścia sesterców, że Klaudyusz założy się o mnie.

— O mnie—rzecze Lidon.

— Nie, o mnie, mruknie Sporus.

— Głupiście! jak możecie mniemać, że któregokolwiek z was przeniesie nad Nigera — rzecze atleta, wymieniając skromnie siebie samego.

— Dobrze więc—rzecze Stratonika, otwierając wielką amforę dla nowo przybyłych, którzy zasiedli około stołu; ponieważ zdaniem waszem wszyscyście tak silni i mężni, powiedzcie kto z was podejmie się walczyć ze lwem numidyjskim, w razie gdyby nie znaleziono zbrodniarza, do któregoby należało pierwszeństwo.

— Gdy już ocalałem w twych rękach, dumna Stratoniko, sądzę, iż mogę bez obawy uderzyć na lwa.

— Lecz powiedz mi — rzecze Tetraides, gdzie się podziała twoja piękna niewidząca niewolnica, której oczy tak są świetne; dawno już jej nie widziałem.

— Zbyt ona delikatna dla ciebie, synu Neptuna, a nawet dla nas samych. Posyłamy ją do miasta sprzedawać kwiaty i śpiewać dla dam. Więcej ona tym sposobem przynosi, aniżeliby zarabiała, podając wam napoje. Wreszcie ma inne zatrudnienia, które pozostają pod różą. *)

— Inne zatrudnienia! — powie Niger; lecz ona za młoda.

— Milcz, jesteś zwierzę! — rzecze Stratonika; ty się znasz tylko na korynckich igrzyskach. Gdyby nawet Nidya była dwa razy starszą niż jest, biedne dziewczę zdałoby się dla Westy.

— Lecz słuchaj, Stratoniko — rzecze Lidon, zkąd wydostałaś tak łagodną, tak delikatną niewol-

---

*) *Pod różą.* To wyrażenie przysłowiowe napotyka się kilka razy w tym romansie *klasycznym.* Działać lub mówić pod różą, *sub rosa*, znaczyło u Rzymian działać lub mówić tajemnie; róża była poświęconą Harpokratesowi, bożkowi milczenia: często więc wystawiano ją w rzeźbach i sufitach izb, w których przyjmowano gości, — dla wyrażenia symbolicznie, że wszystko, co się mówiło i czyniło w tych miejscach, pozostanie tajemnicą.

nicę? Lepiejby się ona przydała jakiej bogatej matronie rzymskiej.

— To prawda — odpowie Stratonika, i zrobię kiedyś majątek, sprzedając ją. Pytasz mię więc, zkąd ją dostałam?

— Tak jest.

— Czy przypominasz sobie, Nigerze, moją niewolnicę Stafilę?

— Tę o szerokich rękach i z twarzą nakształt maski komicznej. Jakżebym o niej zapomniał! przysięgam na Plutona, w jego usługach jest ona teraz bezwątpienia.

— Milcz, głupcze! Otóż owa Stafila umarła dnia pewnego, i była to dla mnie niemała strata tak, iż zmuszoną zostałam pójść na targ, aby kupić inną niewolnicę. Lecz przez bogów! one tak podrożały od czasu jak kupiłam biedną Stafilę, a pieniądz tak się stał rzadkim, że już z rozpaczą miałam wrócić do domu, gdy pewien kupiec pociągnął mię za suknię. Pani — rzecze, czy chcesz taniej niewolnicy? mam do sprzedania dziecię prawie za nic; młode to wprawdzie i małe jeszcze dziewczę; lecz iest żywa, spokojna, uległa, zręczna, śpiewa i szyje wybornie, a przytem mogę cię upewnić, iż z dobrej krwi pochodzi.—Z którego kraju?—pytam się.—Z Tessalli.—Ponieważ wiem, że Tessalianki są łagodne i dowcipne—rzekłam więc, iż pragnę ją widzieć. Było to młodę dziewczę, na pozór ani mniejsze ani młodsze

jak teraz. Zdawała się cierpliwą i uległą, ręce miała na krzyż złożone a oczy spuszczone w ziemię. Spytałam się o cenę; była przystępną i kupiłam natychmiast. Kupiec odprowadził ją do mnie i zniknął. Pojmiecie zadziwienie moje, gdym spostrzegła że to była niewidoma. Ach! był to przebiegły człowiek ten kupiec. Pobiegłam do Trybunału, lecz oszust opuścił już był Pompeję; tak iż zmuszoną zostałam w złym humorze powrócić do domu, a biednej dziewczynie dało się to nieco we znaki. Lecz nie jej to wina, gdyż kalectwo swe ma od urodzenia. Powoli kupno nasze nabrało wartości. Prawdę mówiąc, nie wyrównywa ona siłą Stafili i mało nam jest użyteczną w domowych usługach; lecz nauczyła się rychło tak dobrze chodzić po mieście, jak gdyby miała na usługi sto argusowych oczu; a gdy pewnego poranku przyniosła nam garść sesterców za kwiaty uzbierane w lichym ogrodzie naszym, nie wątpiliśmy, że ją nam sami zesłali bogowie. Teraz pozwalamy jej wychodzić niekiedy z koszem kwiatów, z których splata ulubione przez młodzież tessalskie girlandy; i zdaje się, iż ją umiłowali możni, gdyż dają jej za kwiaty więcej pieniędzy, niż innym kwiaciarkom, a ona odnosi je wszystkie, czegoby nie uczyniła żadna niewolnica. Pracuję więc sama w domu; lecz to, com przez nią zarobiła, wystarczy wkrótce na kupienie drugiej Stafili. Wątpić nie należy, że tessalski złodziej porwał młodą

niewidomą z dobrego domu. *) Prócz talentu splatania girland umie ona jeszcze śpiewać i grać na cytrze, co nam także dochód przynosi; nakoniec... lecz *to* już jest tajemnicą.

— Tajemnicą! co? — zawoła Lidon, czyś się przemieniła w sfinksa?

— W sfinksa? Nie... dlaczego w sfinksa?

— Dosyć tej wielomówności; przynieś nam raczej obiad; jestem głodny—rzecze Sporus z niecierpliwością.

— I ja także—powtórzył okropny Niger, ostrząc nóż na dłoni.

Amazonka udała się do kuchni i za chwil kilka powróciła z tacą napełnioną grubemi kawałami na pół surowego mięsa; gdyż, tak w tej epoce, jak dzisiaj, mniemali szermierze, iż tym sposobem snadniej zdołają zachować swą siłę i srogość; a gdy tylko zbliżyli się do stołu z oczyma zgłodniałych

---

*) Tessalscy kupcy niewolników słynęli z kradzieży osób wyższego wychowania i rodu, a nawet nie oszczędzali czasem swych współzimków. Przewrotność Tessalijczyków weszła w przysłowie, a Arystofanes gorzko natrząsa się z ich nienasyconej chciwości i korzyści odnoszonych z tego ohydnego handlu.

wilków, zniknęło mięso i lać się zaczęło wino. Lecz musimy opuścić na chwilę te znakomite osoby starożytności klasycznej i zobaczyć, co czyni Burbo.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

kwartał IV r. 1898 (13 tomów).

St. Kozłowski	„**Taboryci**“, dramat w pięciu aktach	tom 1
T. T. Jeż	„**W Zaraniu**“, powieść	tomów 3
E. Goncourt	„**Bracia Zemganno**“	tom 1
T. Padalica	„**Powieści Ukraińskie**“	„ 1
Edm. Rostand	„**Cyrano de Bergerac**“, komedya bohaterska w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego	tomów 2
Irena Mrozowicka	„**W płytkim prądzie**“ . .	tom 1
Jonas Lie	„**O Zachodzie**“, powieść norweska	„ 1
Klementyna z Tańskich Hofmanowa	„**Krystyna**“	tomów 2
H. Andersen	„**Bajki i Opowiadania**“ . . .	tom 1

Kwartał I r. 1899 (13 tomów)

Józef Bliziński	„**Obrazki**“	tom 1
Artur Gruszecki	„**Szarańcza**“ powieść na tle stosunków szląskich	tomów 3
Juliusz Breton	„**Artysta**“ (Savarette) . .	tom 1
Jan Lam	„**Wielki Świat Capowic**“ . . .	tomów 2
„	„**Głowy do pozłoty**“	tomów 4
J. W. Goethe	„**Reineke-Lis**“	tom 1
Stanisław Pilecki	„**Dwa głosy**“	tom 1

Kwartał II r. 1899 (13 tomów),

Marya Konopnicka	„**Pod prawem**“ powieść	tom 1
Teofil Lenartowicz	„**Poezye**“	tom 1
Marya Konopnicka	„**Nowele**“	tom 1
Adolf Dygasiński	„**W Kielcach**“ opowiadania i uwagi o czasach szkolnych .	tom 1

Marya Konopnicka „**Nowele**“ . . . . . tom 1
Józefat Nowiński „**Biała gołąbka**“ poemat dramatyczny w 5 aktach . . . . . tomów 2
Marek Twain „**Bajeczki dla starych dzieci**“ przełożone z oryginału przez *Alinę Świderską* . . . . . tom 1
Michał Synoradzki „**Muszkieterowie króla jegomości**“ romans historyczny. . . tomów 4
Eliza Orzeszkowa „**Jędza**“ . . . . . tom 1

Kwartał III r. 1899 (13 tomów).

K. Junosza „**Żywota i Sprawy mć pana Symchy Borucha Kaltkugla ksiąg pięcioro**“ tomów 2
Wanda Grot-Bączkowska. „**W mieszczańskiem gnieździe**“ powieść . . . tomów 2
Lord Byron „**Wędrówki Childe - Harolda**“ poemat, tłom. z ang. przez *A. A. K.* . tomów 2
A. K. Smaczniński. „**Na dnie otchłani**“ powieść współczesna . . . . . tom 1
Marya Łopuszańska „**Bezkrólewie**“ powieść historyczna . . . . . tomów 4
H. G. Wells „**Wojna światów**“ przekład z angielskiego *Maryi Wentz'l* . . . . tomów 2

Nowi prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ mogą nabywać powyższe komplety kwartalne po rb 2,40 w Warszawie, z przesyłką pocztową rb. 3.

W kwartale IV-tym roku 1899 wyszły następujące bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

Edward Maliszewski „**Z życia**“ . . . . . tom 1
Wiktor Gomulicki „**Wybór Nowel**“ . . . tomów 2
E. L. Bulwer „**Ostatnie dni Pompei**“ . . tomów 4

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
130605

Biblioteka WSP Kielce
0149727